



Franciszek Wężyk

Na Królewskim
Dworze

Opracował S. Gębarski



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



111076

Na Królewskim Dworze.

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

według powieści historycznej „Zygmunt z Szamotuł“

FRANCISZKA WĘŻYKA

opracował dla młodzieży

STEFAN GĘBARSKI.



WARSZAWA.

NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.

1907.

V. 142/82



111076

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.

ROZDZIAŁ I.

Zamek Szamotulski, odwieczne gniazdo zamożnej gałęzi starożytnego Nałęczów domu, nie miał nic ponętnego, ani godnego uwagi. — Okopcone od czasu i grubie na sążen mury, wyniosłe baszty, głębokie fosy, mosty zwodzone i warowne bramy, uzbrojone żelaznymi sztabami okna, obszerne lochy, a często napelnione okutymi w łańcuchy jeńcami, w pośród zarosłej lasami okolicy, nadawały mu raczej postać więzienia, niż poważnego zamożnej rodziny siedliska. Przecież najczęściej w nim przebywał i mieszkał Wincenty z Pomorzana Szamotulski, herbu Nałęcz, wojewoda poznański, a z ramienia Władysława Łokietka, króla polskiego, generalny Wielkopolski starosta.

W sprawach ważniejszych jedynie opuszczał zamek i udawał się do Poznania. Lecz gdy je załatwił, natychmiast do Szamotuł powracał.

Pan ten podeszłego już wieku, dla przewagi jaką mu wielki majątek nadawał, i dla roztropności, z której słynął, najzdolniejszym się zdawał do sprawowania rządów wielkopolskiego księstwa, nie dość jeszcze utwierdzonemu na tronie Piastów królowi. Jakoż pod jego władzą uspokoiły się wzburzone tyłu zmianami krajowemi umysły. Lecz z niepoślednią zdolnością do rządów, nie umiał on nigdy łagodności połączyć. Jego surowe wyroki oburzały często wielkopolskich mieszkańców, a duma, nieprzystępność i samotne życie w ulubionem zameczysku, odstręczały od niego serca współziomków. Kilku zaufanych, a raczej gotowych na skinienie słuzalców, całe jego towarzystwo składało. Owodowały w samej czerstwości i sile wieku, mało się nawet poświęcał wychowaniu jedyne go syna, którego rychło obcym rękóm powierzył. Lecz młody Zygmunt z rzadką urodą odziedziczył wszystkie przymioty dobrej i łagodnego umysłu matki, którą w dzieciństwie postradał. Wróciwszy z Czech i Niemiec, stał się jedyną samotnego życia ojca swojego osłoda. Wszakże

ta cierpkość, która ojcę towarzyszyła w rządzeniu krajem, zbyt często rozciągała się nawet do syna. — Wstrzymywał go w tęsknym domu, pod płónnym pozorem pomocy w trudach, i ciągle się wzbraniał dopełnić woli króla, który zalecanego powszechnie młodziana, po dwakroć już wzywał do swego dworu. Podejrzliwość, ta towarzysza dumy, do różnych go w tej mierze skłaniała domysłów. Wojewoda Wincenty z Pomorzań cenił króla, lecz więcej się go lękał niż kochał. — Tęgość rządów Władysława Łokietka przykrą mu była w wyższym nad sobą, chociaż jej sam względem niższych z całą ostrością władzy używał. — Wiedział on dobrze, jak liczne przeciw niemu zanoszono skargi i jak te znajdowały snadny przystęp do tronu; lecz czuł zarazem, że ramię jego w krajowych stosunkach jest nader potrzebnem dla króla. — Dla tego wcześniej obmyślając sposoby ratunku przeciw zabiegom Wielkopolanów i bezwzględnej sprawiedliwości Monarchy, często się do następnych myśli zaciekał.

Zgłębili tę przepaść, nad którą stanął dumny wojewoda, krzyżacy. Stąd poszły liczne poselstwa i listy od ich wielkiego mistrza Wenera, stąd ciągle zwią-

zki z Niemcami, które nareszcie obudziły troskliwą baczność Władysława Łokietka.

Pewnego dnia rano, starosta Wincenty, siedząc w głębokiem krześle, odziany niedbale karmazynową ferzyą, lekkiem futrem podbitą, odczytywał świeżo otrzymane listy od wielkiego mistrza przez umyślnego wysłańca; przygotowaną odpowiedź już był potargał dwa razy i zabierał się na nowo do ułożenia jej w stosowniejszej treści. — Wstawał, przechadzał się i siadał, ważąc głęboko to, co miał pismu poruczyć, a znowu nierad swym myślom, złorzeczył czasowi, który mu nie nastrecał przyzwoitych do położenia rzeczy wyrazów. Gdyby kto na niego poglądał z ubocza, łatwoby dostrzegł na twarzy walkę dogorywającej enoty, z niezdecydowanym na zbrodni umysłem. Nakoniec znękany tym stanem duszy zaklasnął w dłonie i rzekł do wchodzącego na pół z trwogą a na pół z uszanowaniem pokojowca:

— Cóż więc porabia gość nasz świeżo przybyły, ów rycerz krzyżacki?

— Dotychczas — odpowiedział pokojowiec — i on i giermek używają wywczasu.

— Jakto tak długo spoczywają? — rzeknie z ży-

wością Wincenty. — Co za spokojność umysłu i duszy!? Wróć na twoje miejsce natychmiast i bacz z uwagą na wszelkie nasze skinienie! — rzekł do pokojowca.

I znów wojewoda poznański, zostawiony swym treskom, zabierał się do pisania listu, gdy wszedł pokojowy i nieśmiało oświadczył, że poseł krzyżacki wstał i żąda posłuchania.

— Niech wejdzie! — rozkazał wojewoda.

Wszedł krzyżak, w bogaty strój przybrany, i uśmiechając się obłudnie, zbliżył się do Wincentego.

— Dostojny panie — rzekł — czas działać... Mistrz nalega...

— Nie! — odrzekł Szamotulski do Krzyżackiego rycerza — roztropność nakazuje to odwlec, czego się można uchronić.

— Roztropność! i zawsze też sama roztropność — odrzekł mu Krzyżak. — To oglądanie się na wszelkie stosunki i względy; to wahanie się wasze wtedy, gdy działać wypada, te długie a nieprzydatne namysły nie rokują bynajmniej pomyślnego skutku. Lękaj się, wasza miłość, ażeby czas tak sposobny i błogi nie minął bezpowrotnie. Mści się on srodze na tych, którzy go użyć nie chcą, gdy się ku temu sposobna pora nastre-

cza Nie znamyż my tego z działań króla waszego Łokietka? a gdy baczem swem okiem serce przeniknie i gdy się do działania zabierze, cóż wtedy nasz zakon dla dobra waszego uczynić potrafi?

— Polegamy mocno — przemówił wojewoda poznański — na przyjaźni i wsparciu mistrza waszego Wernera; lecz i czas jest naszym sprzymierzeńcem w tem dziele. Niech dojrzeje to ziarno, któreśmy z nienagłą na wdzięczną rolę rzucili. Wtedy dopiero chwila żniwa nastąpi, a potem wiecie to dobrze, jaką ufnością otoczył nas król nasz Władysław.

— Jeżeli wejdziemy w ścisłe z powinnością rachuby — rzekł na to Krzyżak — zaiste pierwsza myśl jej przeciwna, nazwie się według gminnego mniemania: zbrodnią. Lecz wyższe od pospolitych umysły gardzą takimi lęklivego sumienia drobnostki. Któżby się z ludzi wzniósł do potęgi i władzy, gdyby się baczem okiem na wszystkie oglądał stosunki? Chceszli wasza miłość dotrwać w zaprzysiężonej wierności, należy wziąć rozbrat z pożądanem niegdyś wsparciem naszego zakonu. Dziś więc lub nigdy, a to co od was poweźmiemy w tej chwili, stanowiś będzie o losie przyszłego wyniesienia waszego lub zguby.

— Dla Boga! — zawołał Szamotulski — nie nalegajcie na nas tak silnie, albo się nam przyjdzie wyrzec tak zrećźnie ułożonych zamiarów. Zbadaliżeście dokładnie całą głębię przepaści, w którą nas zbyt skwapliwem działaniem chcecie pogrążyć?

— Kto zgłębia przepaść, nad którą stanął — odrzekł mu Krzyżak — ten się w nią nigdy nie rzuci z odwagą. Inaczej począł Świętopełk w podobnem i mniej drażliwem zdarzeniu; ale inaczej pewnieby nie zostawił swym synom pięknych dzierżaw pomorskich i chlubnego przed światem ksiąząt imienia. Czemże był Łeszek Biały dla niego? Oto raczej dobrodziejem, niż władcą, raczej ojcem niż panem. Czemże jest dla was Lokietek? Oto groźnym i surowym monarchą, tyranem raczej niż królem. Szamotulski, książę poznański, kaliski, gnieźnieński, niewartże czczego wojewody nazwiska? A syn wasz Zygmunt, ten młodzian tyłu piękności przymioty ozdoby. nie jestże więcej godnym władania, niż ów zniewieściał i wylan na wszelkie rozputy Kazimierz, godny syn ojca swego Łokietka?

— Dozwólcie nam jeszcze — odpowiedział walczący z rozmaitemi a sprzecznymi myślami Wincenty — abyśmy odsunęli od siebie na czas niejaki, tak pochle-

bne dla serca naszego widoki. Tyle łask na nas wylanych od króla, nieposzlakowana dotychczas wierność przodków naszych Nałęczów dla poświęconej Piastów rodziny; ta władza, równa prawie królewskiej, którą nas Władysław zaszczycił i którą silnie dzierżymy, pomimo mnogich po jej odjęciu zabiegów: wszystko to nakoniec przeważa najświetniejsze nawet otuchy. Niech sobie syn nasz Zygmunt szuka szczęścia na świecie, przez własne zasługi i znoje. Jeżeli mu dopomoże Najwyższy, ufamy mocno, że i on wyjdzie na ludzi. Oto jest odpis na listy, któreście nam przywieźć raczyli. — Oświadczcie krom tego wielkiemu mistrzowi, że pragniemy długo, a nawet na zawdy zadzierżyć przychylną tak dzielnego i dostojnego rycerza.

W tej chwili wszedł pokojowiec, trzymając w ręku papiery.

— Cóż tam nowego? — zapytał go silnym głosem Wincenty.

— Listy królewskie — odpowiedział odedrzwi.

— Podaj je waszmość i odejdź!

Gdy Szamotulski przeglądał złożone mu pisma, rycerz krzyżacki, udając obojętność pozorną, często na niego okiem badacza spoglądał. Dostrzegł on wkrótce,

jak w twarzy wojewody ryły się kolejno tysiączne a sprzeczne z sobą rozmysły. Po chwili, zawolał głośno ściskając obrotacz przeczytane pisma:

— Co tego, to już za wiele! Więc nasze wrogi pilniej od nas czuwają... Więc ten król nieugięty wymaga od nas koniecznie... Zaczny i pełen przenikliwości rycerzu! chcę wam dać dowód całej naszej ufności dla waszego zakonu. Słuchajcież bacznie tych nakaznych króla Łokietka wyrazów: „Już to podwakroć żądaliśmy — czytał pismo królewskie — od was abyście syna waszego Zygmunta do dworu naszego wysłali. To lekceważenie łaski naszej królewskiej, wprawia nie jednych w rozmaite domysły. Dla tego po raz trzeci i ostatni nakazujemy wyprawić tego młodziana do Krakowa bez żadnego omieszkania i zwłoki. Chcemy go poznać i otworzyć mu pole do ćwiczeń przystojnych dla jego wieku i rodu, i radziłyśmy go widzieć z nadchodzącemi święty. Zbyt częste oblegają nas skargi na wasze wielkorządy i krzywdy. W rychle zechcemy wejrzeć z bliska w sprawę waszego urzędu. Obaczcie się przeto Waszmość dobrze a pilnie. Napominamy o to jako pan i ojciec pod gniewem naszym królewskim.“

— Jakże? — zawołał po chwili milczenia, tryumfujący w duchu Krzyżak — niesprawdzają się aż nadto wszystkie nasze domysły? Nie widzicież jeszcze zbliżającej się ku wam gwałtownej burzy, którą jedynie gwałtownymi środkami odwracać należy? Cóż więc myślicie przedsięwziąć po tak wyraźnej groźbie, która się na koniec spełnić musi w przerażającym sposobie?

— Ulecz, gdzie przeprzeć nie można — rzekł na to Wincenty — to jest, co nam roztropność doradza.

— Ulecz i zginąć! — zawołał Krzyżak z szyderstwem. — Na takie słowo zdobyłby się nawet nikczemnik. Oprzeć się i zwyciężyć, oto czegom się od was spodziewałem. Lecz złąśmy, jak widzę, obrali chwilę do tak ważnej narady. Już skargi Wielkopolan na wasze rządy głośnieją się stały w polskiej stolicy. W rychło zapewne sam król do Poznania przybędzie. Wzrok jego bystry, przeniknie snadno wszelkie skrytości. Mnie-macież wy może, że nasze wrogi i wasze w tej nawet chwili nie czuwają nad nami?

— Nie dbam ja o to — opowiedział z gniewem Wincenty — i snadno zdołam zniszczyć wszelkie złośliwych zabiegi! Zbyt to jest niedołężny związek na nasze barki i siły. Alboż nie znamy dokładnie chci-

wego panowania i władzy umysłu Łokietka? Alboż to nie wiemy, jak dnem i nocą pracuje nad przywiedzeniem do sferności i posłuszeństwa tych rozbrykanych panków pośród wojen domowych i bezkarności dawniejszych rządów? — Polegajcie na nas w tej mierze bezpiecznie. Z powodu władzy i spraw naszego urzędu, ani włos jeden nie spadnie z tej głowy.

— A syn wasz Zygmunt? — przerwie mu rycerz krzyżacki.

— Musi natychmiast jechać do dworu — odrzekł mu wojewoda. — Tym tylko środkiem podejrliwość królewską uspiemy.

— O, słaby i nie przezorny ojciec — rzekł na to krzyżak — tu właśnie na was czekałem. Nie widzisz wy jeszcze zręcznie i zdaleka zastawionej zasadzki? Więc nie przeczuwacie zdrady, która się ku wam w obłudnej uśmiecha postaci? Skoro wasz Zygmunt raz tylko stanie w Krakowie, wszystkie wasze widoki na przyszłość skonają. Co za chytróść okryta płaszczem życzliwych chęci! Jakto, nie poznajecie dotychczas, że Król Władysław chce mieć przy sobie w Zygmuncie zakładnika waszych postępków? Wie on dokładnie, że syn ten jedyny jest najmilszym przedmiotem

wszystkich uczuć ojcowskiego serca waszego i że w nim tylko wszystkie wasze spoczywają nadzieje? -- Dla tego tak silnie nastaje na wyprawienie go do dworu, jak gdyby król polski w tylu synach znakomitych rycerzy i mężów nie mógł wynaleźć gotowych na swe skinienia młodzieńców, jak gdyby w jednym Zygmuncie upatrywał całą świetność swojego dworu, którą się chce na wzór i podobieństwo innych monarchów otoczyć. Nie nam zapewne przystoi otwierać oczy mężowi, którego wiek, doświadczenie i znakomitość stopnia tak sprawiedliwie nad innych wynosi. Lecz gdyby wierne a przychylne porady znalazły przystęp do serca waszego, śmiałobyśmy wyrzekli: Róbcie co się wam żywnie podoba; odwołajcie ważną chwilę wyniesienia się nad wszystkich współczesnych, a może nawet i tych co żyli kiedy przed wami; odrzućcie wszelkie ofiary, jakie wam czyni nasz Zakon, bez widoku najmniejszej korzyści, ale nie posyłajcie do Krakowa syna waszego Zygmunta!

— To uczynić muszę! — odrzekł z widoczną niecierpliwością Wincenty.

— W takim razie — przemówił Krzyżak z niechęcią — jako wierny doradca Mistrza Wielkiego, prze-

łożę mu nieodzowną potrzebę zerwania z wami wszelkich stosunków i związków.

— Jeszcze chwil kilka poczekajcie! — zawołał pasujący się z sobą Wincenty. — Zaklinam was na Boga i na dobro tego zakonu, którego jesteście członkiem nie przynagłajcie tak bardzo stanowczych życia naszego wypadków. Znamy to dobrze, jakie z wytrwałości w tym związku pozyskać możemy korzyści: i jakie nawzajem wynikną dla was przysługi. Lecz jeszcze nie przyszła pora do działania sposobna! Zaczekajcie!

— Niechaj więc będzie tak, jak żądacie — przemówił Krzyżak — sam wielki mistrz w tej mierze stanowi. Co do nas, wolimy jawnego wroga, niż chwiejącego się sprzymierzeńca i druha.

Co rzekłszy, wyszedł i odjechał natychmiast.

— Bodaj-żeś przepadł! — szepnął gniewnie wojewoda.

ROZDZIAŁ II.

Od dawna nie widziano takiego krzątania się i ruchu wśród murów Szamotulskiego zamku, do jakich stał się powodem dzień wyjazdu Zygmunta. — Nie mógł dłużej odwlekać tej chwili wahający się w swych myślach Wincenty.

Już wszystko było w gotowości do podróży Zygmunta, już konie jezdne i juczne stały okiełznane na dziedzińcu zamkowym, już domownicy i słudzy oczekiwali chwili pożegnania młodego syna pana swojego, gdy wojewoda, przywoławszy do swojej komnaty obudzonego przed niedawnym czasem Zygmunta, temi słowy doń przemówił:

— Nadeszła chwila, którą dość długo odwlekaliśmy na próżno. Wkrótce, synu nasz, opuścisz rodzinne ściany tego starożytnego zamku, który poglądał na kolebkę i kształcenie się twoje, a w którym letni i skolatany troskami ojciec zostanie samotnym i opuszczonym od jedynego wszelkich swych starań przedmiotu. — Tak się snąć podobało wszechmocnemu a potężnemu Bogu.

Szczerze i okrom obludy wyznamy, że sami niezbędny do tego nas postępkowi zniewolił. Niepodobna nam było dłużej opierać się przeważnej woli króla, a pana naszego. — Jedźże więc waszmość szczerliwie i bez przygód na ten dwór, który królewskim blaskiem zajaśniał, ku czemu nasze zabiegi i prace przyłożyły się niemało.

Oto są listy, które masz oddać w ręce samego monarchy, uważając bacznie, jakim je przyjmie umysłem. — Te inne polecą powolne służby Waszmości przemożniejszym panom w stolicy, między którymi ściągnięty z cudzych krajów Spicymierz pierwsze dziś miejsce w łaskach królewskich odzierżył.

Otrzymawszy Zygmunt błogosławieństwo ojców-

skie i uściskawszy rozczulonego starca kolana, pożegnał zgromadzonych domowników i sługi, i puścił się w drogę do stolicy.

ROZDZIAŁ III.

W dniu trzecim wielkanocnego święta, po odbytem nabożeństwie w najbliższym kościele, siedział sędziwy Władysław Łokietek, król polski, pod wystawą obszernego dworu zbudowanego z drzewa, w zwierzyńcu, pod zamkiem krakowskim. To jego ulubione mieszkanie łączyło z prostotą pierwiastkowych wieków wszystkie powaby miłego ustronia. Przybrany w biały sukien-ny żupan, król miał u boku krótką, w żelazo oprawną szablę. Wiosenne słońce odbijało się od srebrnych włosów długiej i gęstej brody. Na stole dębowym leżały zwinięte pisma, które z uwagą przeglądał. Widok bliskiej i powstającej z gruzów stolicy, a nadewszystko widok liczego ludu, który prawym brzegiem poważnej

Wisły pośpieszał na wzgórze Krzemionek, dla uczestnictwa uciech święta Rękawki, jego wesołe śpiewy, nucone przy dźwięku fletni pasterskiej, napelniały serce dobrego i walecznego pana trudną do określenia słodyczą.

Swobodna od wojen i zawichrzeń domowych Polska, właśnie w tych czasach zaczęła pod jego berłem rozkwitać, a zamożność, córka błogiego pokoju, wracała powoli na ziemię, zbyt długo trapioną wszelkimi klęskami.

Zbliżył się do króla poważny Spytek z Mielsztyna, wiodąc za sobą urodziwego młodziana, w którym bez trudności Zygmunta z Szamotuł poznano. Wiemy to z dziejów, że Władysław Łokietek, w swej za granicami Polski tułaczce, doznał od Spytkowego ojca, a zamożnego pana nad Renem, tyle gościnności i wsparcia, iż o tem przez całe życie wspominał ze łzami. Po objęciu berła polskiego wdzięczność, to przyrodzone serce szlachetnych znać, nakazała mu przez miłość i względy dla syna, wypłacać się z długu zaciągniętego u ojca. Wezwawszy przeto Spytkę z obcych krajów do Polski, nie tylko przyswoił go, wraz z jego

herbem Leliwą nową ojczyznę, lecz obsypanemu dostojności i łaski otworzył obszerne pole do zasług, które w późniejszym czasie stały się chlubnym jego rodzinnym dziedzictwem. Spytek, osiadłszy w Polsce, budował zamki i miasta, z których przedniejsze Tarnów i Mielsztyn i do samego zgonu był wierną radą króla swojego. Dostojność wojewody krakowskiego mniej go wynosiła nad innych, niż ta szlachetna, a tkliwa przyjaźń, której mu nie uchylał w żadnym zdarzeniu Władysław.

— Królu mój i panie — rzekł, przystępując do Władysława Spytek z Mielsztyna — młodzieniec, którego stawiam przed oblicze waszej miłości, jest Zygmunt z Szamotuł.

— Przecież na koniec usłuchał naszych rozkazów pan Wincenty — odpowiedział monarcha. — Przystąp sam Waszmość bliżej! Cóż nam przynosicie od swego rodzica?

— Rodzic mój — rzecze z uszanowaniem młodzieniec — polecając Waszej Miłości pokorne swe służby, nakazał nam złożenie tych pism, w których krom wątpliwości zdaje swą sprawę z poruczonych mu rządów i pańskich rozkazów.

— Dobrze! — przemówił przyglądający się bacznie kształtnej postaci Zygmunta Władysław. — Rozważymy to powolnym czasem. Dawnoż waszmość opuścił wielkopolskie krainy?

— Dni dziesięć temu — odpowiedział młodzieniec.

— Jakież z tamtąd przynosicie nowiny?

— Pokój błogi i wszystko na skinienia waszej miłości gotowe.

— A drogi, przeprawy?

— Bezpieczne i swobodne od wszelkiej przeszkody.

— A lud mój wierny i miły?

— Błogosławi berłu waszej miłości i używa wszelkiej opieki zaręczonej przez prawa.

— Miło nam słyszeć te słowa z ust pewnie nieznaających obłudy — przemówił na to Władysław. — Gdzieżeś Waszmość dwa pierwsze święta przepędził?

— W zamku Rabsztyńskim, gdzie ledwie w sobotę stanąć zdołałem.

— Szkoda, że pan Wincenty, rodzic Waszmości, odwłókł tak długo waszą do stolicy wyprawę; bylibyśmy was z synem naszym Kazimierzem do Opawy wy-

ślali, gdzie jego małżonka, królowna czeska Judyta, miała na syna mojego oczekiwać i gdziebyście się przypatrzeć mogli całemu obchodowi wesela. Lecz i tu niezbędzie na godnych i przystojnych zabawach, a potem zażyjemy was do pracy. Umieszli Waszmość dobrze czytać i pisać?

— Umiem, miłościwy królu!

— A po łacinie?

— Nie spełna doskonale; lecz niebrak mi na ochocie ku dalszemu ćwiczeniu.

— A po niemiecku?

— Cośkolwiek.

— Umieszli Waszmość dotrzymać powierzonych sobie skrytości?

— Niedoświadczany dotychczas w tej mierze, umysł mój i serce na straży wszelkiej skrytości postawię.

— Nie zła, przebóg, odpowiedź — rzekł na to król uradowany — zwłaszcza na wiek Waszmości. Spytku z Mielsztyna, weźmiecie pod swe oko tego młodziana. Może się przydać do pisania listów pomniejszej wagi, a potem myśleć o nim będziemy. Dwór nasz staje się odtąd schronieniem i domem Waszmości. Tuszymy so-

bie, że mu nie sprawicie zakąły. Byłżeś już Waszmość w jakiej wojennej potrzebie?

— Pokój, którego używa Polska pod berłem Waszej miłości — odpowiedział Zygmunt — zagrada drogę młodemu rycerstwu do szukania chwały wojennej. — Ościenne walki pomiędzy krzyżakami a Litwą odbijały się nieraz o nasze uszy. Lecz gdy przed rokiem Giedymin, książę litewski, ziemię Dobrzyńską pustoszył, gdy jęki ziomków wołały głośno o wsparcie, zawrzała w sercu naszym chęć walki i sławy. Aleście temu, najmiłościwszy królu, rychło zabiegli, wzięciem ziemi Dobrzyńskiej w swoją opiekę. Gdyby jednak nadarzyła się nowa potrzeba, czujemy dobrze, że krew Nałęczów, która te żyły przebiega, wskaże nam ubite od przodków ślady do sławy i wojennych zaszczytów.

— Wyśmienicie! — zawołał na to Władysław. — Takich nam potrzeba młodzieńców. Działaj tak waszmość, jak mówisz, a łaska nasza odpowie godnie przysługom.

W tej chwili weszła pod wystawę dworu królowa Jadwiga. Jej powaga z uczuciem wewnętrznej zacności złączona, jej spokojne i pełne łagodności oblicze, głębokie na umyśle Zygmunta sprawiły wrażenie.

Nie długo potem udano się do stołu. W izbie jadalnej zastali królestwo cały swój dwór zebrany i kilku z przedniejszych panów, między którymi widziano poważnego Nankiera, rodem Szlązaka, biskupa krakowskiego. Władysław, wzięwszy podany sobie talerz srebrny, napełniony pokrajanemi w ćwiartki jajami, przeżegnał najprzód to wielkanocne jadło, a poczęstowawszy niem królowę, obchodził potem wszystkich kolejają, i do każdego z obecnych coś życziwego lub uprzejmego przemówił.

Zasiadł później Władysław pomiędzy biskupem krakowskim a Spytkiem z Mielsztyna. Królowa Jadwiga zabrała miejsce naprzeciw swego małżonka. Podano najprzód święconego baranka. — Następowaly potem ogromne szynki, dzicze, głowizny, sarnie i cielece pieczenie i nadziane różną siekaniną prosięta. Pomiedzy wielką ciast liczbą, szafranowe kołaczce nie poślednie miejsce trzymaly. Nie skąpiono miodu i piwa. Lecz król Jegomość wraz z tymi, którzy bliżej niego zasiadli, posilał się skromnie winem z sąsiedniej Węgrów krainy. Niemale puzdro, które przed nim ustawiono z flaszami napełnionemi tym napojem, odebrał był w darze od zięcia swego Karola Roberta, króla węgierskie-

go, z Andegaweńskiego domu, za którego przed pięcią
laty wydał był pierworodną swą córkę Elżbietę, a któ-
ry wiele się przyłożył do upowszechnienia winnic w swo-
jem państwie.

ROZDZIAŁ IV.

Wrychle po skończonym obiedzie, oboje królestwo z całym swym dworem na Rękawkę wybierać się poczęli. Pamiątka tej uroczystości ludu, która się w trzeci dzień wielkanocnego święta odbywa, z dawnych wieków pochodzi. Jest za Krakowem wzgórze, składające część krzemionek, nazwane górą Lasoty. Na wydatniejszym wzniesieniu spoczywa wyniosła mogiła, którą mogiłą Krakusa mianują. Twierdzą powszechnie, że po zgonie założyciela dawnej stolicy Chrobatów, lud pogrążony w żałobie zebrał się w licznych tłumach dla oddania czci ostatecznej zmarłemu panu. Żal powszechny i tkliwość natchnęły myśl piękną, ażeby w miejscu, gdzie będą spoczywały reszty dzielnego

książęcia, wznieść tak wyniosłą mogiłę, któraby się i zawistnemu czasowi i siłom ludzkim oparła. Z takim zapalem wzięto się natychmiast do dzieła, że po spaleniu zwyczajem pogan zwłok ulubionego książęcia, lud wdzięczny i pomny błogich rządów Krakusa, znosząc ziemię rękami własnymi, w dniu jednym wystawił ten tkliwy pomnik, na który do dziś dnia bez wzruszenia patrzeć nie mogą Polacy. Następnie jeden z przedniejszych wodzów wezwał lud cały, ażeby corocznie, zgromadzając się przy mogile Krakusa, przez ofiary bogom krajowym, równie jak wiejskie i rycerskie igrzyska dzień ten smutny, lecz nieprzepomny uwiecznić. Okrzyk powszechny powszechną zgodę oznaczył. Tłumy różnego ludu zgromadzały się corocznie. Za czasów dawnych palono ognie na szczycie mogiły i składano bogom ofiary. Następowaly gry, strzelania do celu i rozmaite gonitwy. Rodacy i obcy szli na wysegi w okazywaniu zręczności i siły. Panujący na Krakowie książęta i króle dzielili z ludem doroczne uciechy. Trzeci dzień wielkanocnego święta postanowionym został na uroczystość Rękawki. W niej dochowano przez tyle wieków i odmian lubą pamiątkę wzniesienia mogiły Krakusa, bez innych środków, krom rąk skwapli-

wych wdzięcznego i przychylnego ludu. Pomnik tkliwszy i droższy nad dźwignięte gdzie indziej z marmurów i kruszców bogatych grobowce, w których pycha wznoszących zrównać się usiłuje z samym czci ludów przedmiotem.

Baczną na wszelkie środki podniesienia narodowego ducha Łokietek, dokładał mocnego starania do uświetnienia uroczystości Rękawki. Z jego rozkazu sprowadzano corocznie z Czech i Niemiec rozmaite muzyki, a nawet bawiących swymi wydziwy kuglarzy. Panowie dworscy i właściciele blizkich stolicy zamków rozkazywali z królewskiego natchnienia rozbijać na Krzemionkach obszerne namioty, pod któremi częstowano lud rozmaitemi napojami i jadłem. Namiot królewski przyozdabiały herbowne Piastów barwy. — Tam zgromadzali się zazwyczaj najlepsi z włości królewskich śpiewacy i najdobrańsze wiejskich tancerzy koło. Strzelanie z łuku, ciskanie włóczni do celu dla najzręczniejszych skromne, lecz ponętne nadgrody, z chybających śmiechy lub płocze igraszki, dopełniały obrazu dnia tego, którego uciechy przeciągały się zwyczajnie aż do późnego wieczora.

Król Władysław, przebywszy Wisłę naprzeciw dwo-

ru swojego w Zwierzyńcu, wsiadł na koń a jadąc prawym brzegiem tej rzeki, złączyć się miał z małżonką, jadącą łodzią w towarzystwie swego dworu. Dzień był tak pogodny i ciepły, jakim rzadko kiedy kwietniowe słońce kraj nasz obdarza.

Już spostrzegano tłumy zebranego ludu na wzgórzach i w bliskości porozbijanych namiotów rozpoczęte od południa igrzyska, rozlegające się śmiechy z dowodów zręczności kuglarzy, rozmaitość barwy ubiorów, po których rozeznawano różnice powiatów i ludów, utkwione gdzie niegdzie, a lekkim wiatrem kolysane chorągwie, świeżo rozwinięte brzozy, a przeniesione z lasów na wzgórki skaliste, w około których lud w skocznych płasach niewinnej używał rozrywki. Na pierwszym statku płynęła królowa z przedniejszych paniami. Drugi, mniej kształtny, lecz obszerniejszy panny jej dworu zajęły. Dobrani przewoźnicy, krając płytkiem wiosły nurty Wisły, słuchając skinień jednego z dworskich, który czuwał nad bezpieczeństwem przeprawy.

Skoro tylko królestwo pokazali się nad Wisłą, natychmiast huczne powstały okrzyki, które mi wszystkie wzgórza zabrzmiały. Władysław Łokietek, wsparty na ramieniu wójta ze wsi Zwierzyńca, a Jadwiga pro-

wadzona przez Spytka z Mielsztyna, szli wolnym krokiem, wśród tłumów ludu, który się zewsząd ku nim naciskał.

— Puśćta nas bliżej ukochanego pana — wołali na dwór królewski wieśniacy — wy go codziennie widzita, a dla nas kmieci, nie zawdy takowe gody.

— Rozstapcie się, dziatki! — powtarzał często wzruszony Władysław, a wcisnąwszy się pomiędzy najgęstsze tłumy, zbliżał się raczej niesiony od ludu niż postępujący przez wąskie ścieżki, do miejsca, na którem stała kaplica. — Z niemalym trudem prowadził za monarchą wielbioną od ludu królowę sędziwy wojewoda krakowski.

— To nasza matka i naszego królewicza Kazimierza — zewsząd prawie wolano.

Uklękli wszyscy za wzorem króla przed podwojami kaplicy. Oczekujący kapłan podał wodę święconą i lud cały pokropił.

A odmówiwszy w cichości przekazaną od prawodawcy boskiego modlitwę, pomógł wraz z wójtem Zwierzynieckim sędziwemu monarsze do wstania z miejsca, na którem klęcząc, cześć swoją Najwyższemu panu wszechrzeczy wynurzał.

Obchodzili królestwo wszystkie miejsca kolejną, gdzie lud gromadnie zebrany używał zwykłych rozrywek. Drobniejsze dzieci wieśniaków, uszykowane na spadzistości góry, na której stała kaplica, wyglądały z utęsknieniem tej chwili, gdy rzucone orzechy i jabłka, spadać miały w nagrodę zręczności w chwytaniu onych lub szczęścia.

Hasłem do tej zabawy stała się garstka leśnego owocu, ciśnięta ręką królowej. Ubiegały się o liche ziarno zwinne chłopaki. Niejeden wzbudzał silne uczucia zazdrości, gdy mu się kilka pochwycić zdarzyło. Niejeden już blizki świetnego zwycięstwa, strącony z góry, spadał na dół wraz z rzuconymi jabłkami. A choć królestwo już z tego miejsca odeszli, poczęta zabawa trwała tak długo, dopóki ciskającym orzechów i jabłek, a chwytającym nie zabrakło ochoty.

Pod wielkim szalasem z gałęzi, zręczniejszy od innych kuglarz ściągał tłumy ciekawych ku sobie. Za zbliżeniem się królestwa, wystąpiwszy w pociesznym z różnych barw ubiorze, skłonił się nisko do ziemi i mówić począł w te słowa:

— Królu władający potężnymi ludźmi; jestem kuglarz rodem z Budy. Umiem ja różne wyprawiać dzi-

wy; a za pomocą mej sztuki, każdy czego chce, łatwo dostanie, byleby tylko zapłacił. Chcecieżli, Wasze Miłości, ujrzeć maluczką próbę mojej zręczności? Oto są dwie czarne kokosze. Jedna z nich na moje rozkazy, co chwila znosić będzie po jajach. Naprzykład: oto jest sito, proszę patrzeć, nic w niem niema. Siadaj tu, kwoko, a siedź cicho! Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć: czy dosyć? niech będzie! Hocus, pocus: oto jest jaj dziewięć. Dobrze, bardzo dobrze, moja kokoszo! Lecz to nie dość: bo do jajek trzeba chleba. Oto jest druga. Ta droższa nie równie od pierwszej, bo na każde skinienie, znosi bułkę promnicką. Widzicie ją, Miłościwe królestwo, tak mała i drobna niby cyranka. Hocus pocus: wnet zobaczymy, co zniosła. Otóż jest bułeczka chleba. Wnet ten chleb zjemy w połowie, resztę osadzimy na głowie. Raz, dwa, trzy: a czy już? Oto jest z chleba kapelusz. Czegóż się więc tak śmiejecie? czyż to rzecz jest zdrożna? nie nowego na tym świecie. Z chleba wszystko zrobić można; i kapelusz, i infule, i tłustą pieczeń na rożnie, i pełną złota szkatułę, lecz przezornie i ostrożnie. Bo chociaż w nim jest dar wielki i drogi; przecież mó-

wią: chleb ma rogi. Przebaczenie, miłościwe królestwo, że nam się czasem słówka składają do miary. Jest to choroba umysłu, która nas niekiedy tak gwałtownie napada, że jej inaczej pozbyć się nie możemy, jak przez potok brzęczących i szumnych wyrazów, zagadkowych a niezrozumiałych baśni, co wszystko ludzie zowią z niebios zesłaniem natchnieniem. Przykrać jest w prawdzie ta dolegliwość i słabość, lecz nie jest wcale śmiertelna, chyba dla tych, którzy nas słuchać muszą koniecznie, przez nudy i zawroty głowy, jakich zwykle doznają. — Lecz ostrzegamy sumiennie, że to wszystko, na coście patrzyli i czegoście słuchać raczyli, nie pochodzi bynajmniej ani z czarów, ani z żadnej innej złej sprawy.

— Dość na tem — rzecze król Władysław — oto jest wasza nagroda, za którą będziecie nam bawić do wieczora lud zgromadzony, nie żądając od nikogo nawet złamanego halerza.

Gdy się królestwo ku swemu namiotowi zbliżyli, znaleźli go otoczonym przez lud wiejski z okolic Krakowa, schłodnie i czysto przybrany. Zabrzmiała muzyka z fletni i cymbałów złożona. Najrzęczniejszy z po-

między kmieci wziął do tańca wysmukłą dziewczynę. Za nim stanęło par pięćdziesiąt. Naczelnik kola, zdjawszy swą czerwoną czapkę, pawiem piórkiem ozdobną i skłoniwszy się nisko królestwu, po odegraniu części narodowego krakowian tańca, wyśpiewywał kolejno stosowne pieśni, dowodząc wesoło i żwawo tańczującym wieśniakom, niektóre z tych śpiewek pełnych prostoty zachowano do dziś dnia przez ustne podania.

Tam, od grobu Wandy, piękne słonko świta:
Oto lud krakowski pana swego wita.
Stoją rzędem w kole, jak tych gór łańcuchy:
Kmiecie i parobki i różne dziewczuchy.

Sunie jeleni z krzaków, za nim dwoje dziatek,
Oj, nie było króla, jak nasz król Łokietek.
Szablę ma przy boku, koronę na głowie:
Resztę niech powiedzą Niemcy i Czechowie.

Strzyże konik trawkę, w zdroju się napawa,
A nasza królowa stąpa, gdyby pawa.

Córka jej na tronie, a królewicz żwawy
W rychle ma tu przywieźć niewiastkę z Opawy.

Szumi woda, lecąc na koło ze stawka,
Najmilszym dniem w roku jest dla nas Rękawka.
Widząc pośród kmieci króla potężnego,
Potańcujwaz rażno koło ojca swego.

Po tych i tym podobnych śpiewach, przystąpili
wysmukli, z długimi włosy i w kusych burych kafta-
nach górale.

Zuchwałe i pełne czerstwości oblicza mężczyzn
odbijały żywo od krasnych dziewczek, przybranych w bia-
łe koszule i w różnobarwne spódnice. Przed ich or-
szakami, szła narodowa muzyka z kobz i skrzypków
złożona. Stanęli śmiało przed obliczem królestwa, a ten,
co im przywodził, uchyliwszy z lekka czarnego kape-
lusika za wzorem krakowiaków, śpiewał przed tańcem
w ten sposób:

Płynie strumień po dolinach,
Wadzi się z prądami;

Krakowiacy na nizinach
Żyją kukielkami.

Lecz od źródeł szumnej Soły
Góral w biegu szybki,
Stawia sidła na kwiczoły
I chwyta podrybki.

Czasem chodzimy do Krakowa;
Lecz tam żaden nie wyżyje.
W górach tylko młodzież zdrowa,
Dziewki jak lilije.

Gdy tu słońko złoci pola,
Tam pod śniegiem ziemia drzemie;
Ale miłość swego króla
Grzeje nas i w zimie.

Zbliżał się wieczór, a dzień pogodny chyląc się
ku zachodowi, nagle powstałym wiatrem zmieniać się
począł. Doradzano królowej Jadwidze, ażeby dla wil-

gotnej chwili i burzącej się Wisły, konno raczej wracała, na co się chętnie zgodziła. Pożegnani od swych poddanych, królestwo, przebywszy rzekę pod Krzemionkami, wolno na zamek wrócili.

ROZDZIAŁ V.

Równy z brzaskiem najpierwszym dnia opuszczał łożo Władysław Łokietek. Po odprawieniu na klęczkach pierwszej modlitwy, zaraz udawał się do łaźni. Następnie zajmował się myślami około rządów królestwa, a nie dufając osłabłej z wiekiem pamięci, spisywał je w krótkiej treści, a potem wiernemu Spytkowi udzielał. Już się zabierał do wyjścia z swej izby, gdy nagle tętent koni usłyszał. W tej chwili gruchnęło po całym dworze, że królewicz Kazimierz nagle i niespodzianie przybył samowtór z Opawy. Razem z nim prawie królowa Jadwiga weszła do męzowskiej sypialni.

— Dla Boga, cóżto ma znaczyć, Kazimierzu? — zapytała syna.

— Jakto waszmość sam tu powracasz? — pytał Władysław.

— Sam, najmiłościwsi rodzice! — odpowiedział król lewicz ściskając z uszanowaniem ojca i matki kolana.

— A Judyta, wasza narzeczona? — przerwał mu żywo Łokietek.

— Zaraz opowiem... We środę, przed Wielką nocą, stanęliśmy w Opawie. Uplynał czwartek, piątek, sobota i dwa pierwsze święta, bez żadnej wiadomości z Pragi i z powszechnem zadziwieniem wszystkich obecnych. Wczoraj dopiero nadbiegł goniec od kasztelana krakowskiego Prandoty, który nam doniósł, że za pierwszym do Pragi przybyciem, ujrzał w królu czeskim oziębłość. Gdy przyszło do spisywania małżeńskiej umowy, wszczęły się spory ujmujące dostojeństwu polskiej korony. Jan Luksemburczyk nie chciał b. najmniej od tytułu króla polskiego odstąpić.

— Co? onby się miał królem polskim mianować? — zawołał Władysław.

— Dość nam na jednym, a takim, za jakiego waszą miłość uznajemy — rzekł Spytek. — Ale jakież prawa Jan Luksemburczyk do polskiej korony wywodzi?

— Małżeństwo z Elżbietą, córką Władysława II—

odrzekł na to Kazimierz. — Wacława, który nawet
mniemanego swego królestwa nie widział. Ta okolicz-
ność stała się pochopelem dla Prandoty do żądania doj-
rzalszej rozważki. Dnia następnego złożył król czeski
wyrok biskopi, którym małżeństwo nasze przez zastęp-
stwo z Judytą zawarte, za niebyłe i żadne uznano. Czas
odkrył, że Jan Luksemburczyk, przez zmienność i nie-
stateczność umysłu, a kto wie, czy nie przez namowy
Krzyżaków, jeszcze przed tym wyrokiem, córkę swoją
Judytę synowi Fryderyka, margrabiego Misni uroczy-
stem słowem zaręczył. Tym sposobem spór o tytuł
króla polskiego był tylko osłoną ułożonego zamiaru,
do zerwania z nami małżeństwa. Całą tę sprawę le-
piej od nas wyjaśnia listy kasztelana krakowskiego,
które waszej miłości składamy.

— To jest za wiele! — odezwał się przejęty za-
łem i oburzeniem Władysław. — O, zmienny a nieprzy-
jazny nam Janie! tej krzywdy nie zapomnimy ci do
zgonu. Kazimierz, możesz się oddalić do swojej ko-
mnaty i użyć wczasu po przykrej podróży.

— Ufamy w naukach, któreśmy wam od dzieciń-
stwa dawali — przemówiła Jadwiga, — że przedewszyst-
kiem udasz się do kościoła dla podziękowania Bogu,

iż was w tej drodze od wszelkich złych przygód zachował.

— Wojewodo krakowski — rzekł król, przerywając długie milczenie — to jest sprawa Krzyżaków. Z radością uznajemy, że syn nasz Kazimierz tyle przenikliwości w sprawach państwa okazywać zaczyna. Ani wątpimy na chwilę, że lękający się związków naszych z Czechami Krzyżacy, którzy mieli w Janie Luksemburczyku wiernego sprzymierzeńca i mocną we wszelkich zabiegach podpórę, nabechtać musieli tego płochego pana, do wyrządzenia nam tak wielkiej zniewagi. Tak, to robota Niemców, których z Krakowa wypędziłem, tak to kłują jadowite żmije krzyżackie!..

Niebawem odbyła się długa i ważna panów polskich w obliczu króla narada. Zerwanie małżeństwa królewicza Kazimierza, zniewaga umów i królewskiego dostojenstwa, nareszcie wojna z Czechami: te były celniejsze obrad przedmioty. Zgodzono się większością głosów, iż umowy dawniejsze z Janem Luksemburczykiem, królem Czeskim, w niepamięć puszczzone zostaną. Obraza ze strony tak niestatecznego i płochego księcia, nie zdała się być dość ważnym do wojny powodem, gdy Polska miała niemało od Krzyżaków kłopotu.

Innym przedmiotem powszechnej narady było ożenienie królewicza Kazimierza. — Pomiędzy księżniczkami, których zaślubienie najwięcej dla kraju rokowało korzyści, Aldona Giedyminówna, córka wielkiego księcia Litwy, powszechną zwróciła uwagę. Niebezpieczne sąsiedztwo i liczne zatargi z przemożną w siłę oręża pod berłem Giedymina Litwą, pomoc przeciw spółnym nieprzyjaciołom, Krzyżakom, wzrastająca nadzieja przywabenienia tego dzikiego i bałwochwalczego ludu pod słodkie jarzmo wiary Chrystusa, inne a znakomite względy przechyliły nareszcie szale zdań poważnych ku tak ponętym widokom.

ROZDZIAŁ VI.

Był wielkim miłośnikiem łowów Giedymina. W zarosłej lasami Litwie, żubry, niedźwiedzie i łosie miały od wieków obszerne i dogodne łożyska. Nieznane od dzisiejszych pokoleń tury przesuwają się stadami. Gdy więc dzielny i waleczny książę, po podbiciu Kijowa, dnia jednego wyszedł z swym dworem na łowy, zjawił się nadzwyczajnej wielkości tur, który ściągnął na siebie powszechną uwagę. Uganiał się za nim Giedymin prawie dzień cały. Zwierz, jakby obdarzony rozsądkiem, unikał wszelkich zasadzek i sidła i coraz dalej biegł w głąb puszczy.

Noc nadchodziła, gdy ścigany z ostępu w ostęp, stanął наконец na wynieściejszej górze, na której ciała

książąt litewskich palono; z kąd nie uchodząc bynajmniej, zdawał się oczekiwać przeznaczenia swojego.

Przypada rozogniony Giedymin i jednym rzutem oszczepu odnosi tak trudne dotąd zwycięstwo. Tur, konający pod morderczym ciosem, żadnego jęku nie wydał, jak gdyby rad był tej, która go spotkała śmierci. Ogląda Giedymin ogromną postać i kształt dziwny zabitego zwierza i wtejże chwili nadzwyczajne znużenie wszystkie jego członki sennością ogarnia.

Spoczywał pod rozłożystym dębem na rozpostartej burce, a łowcy jego, strwożeni nieobecnością księcia, szukali go na próżno noc całą. Nazajutrz, gdy dzień począł rozciągać swą władzę nad światem, znaleziono go właśnie, gdy oczy ze snu przecierał. W ciemnych i niezrozumiałych wyrazach określił wczorajszą przygodę. Lecz zwierz, którego zwalczenie tyle go kosztowało zabiegów, zniknął przed wszelkiem szukaniem. Rogi tylko dziwnej wielkości i rzadkiego kształtu zostały. Sen osobliwszy i całonocne marzenia, kazały mu rady bogów zasięgać. Posłano natychmiast do Troków po Krywo krywejtę, czyli najwyższego bożyszcz litewskich kapłana, Lezdejkę, na którego oczekujący ksiązę, dzień cały pod szalasem z gałęzi przepędził, in-

nego nie przyjmując posilku, krom plastra miodu, wydartego z pobliskiej barci i kawałka żytniego placka, który pod jego okiem upieczono w popiele.

Przybył Lezdejko w towarzystwie sześciu kapłanów, a zawarty sam na sam z księżciem, wysłuchał z bacznością następującej Giedymina powieści.

— Nie są wam tajne, poważny mężu, okoliczności wczorajszych łowów. Gdyśmy tu oto, na zgłiszczach przodków naszych, ściganego przez długie czasy tura zabili, przypatrując się pięknej i okazałej zwierzę postawie, tak silne uczuliśmy znużenie, że nas sen mimowolny ogarnął. Szumiały w bliskości nurty wezbranej Wilii, i długo nawet we śnie zdalo nam się słyszeć, wdzięczne bystrego potoku mruczenie. Wtem śni mi się, że widzę wilka nadzwyczajnej wielkości. — Zbliża się ku nam swobodnie, a gdyśmy powzięli chętkę pogłaskania, jakby ułaskawionego zwierzę, za dotknięciem się karku, dreszcz śmiertelny wszystkie członki naszego ciała przejął. Nie był zwierz zwyczajną skórą odziany, lecz cały z twardego żelaza; oczy tylko, do żyjących podobne, blaskiem pochodni migwały. Za dotknięciem ręką, tak strasznym i ogromnym ojezwał się głosem, jak gdyby sto wilków w jego kadlubie zawartych

ryknęło. Przerazenie, którem byliśmy dotknięci, trwało sen cały i dotąd jeszcze na wzmiankę tego zjawiska powraca. Wy, którym czytać w przyszłości dozwalają bogowie, powiedzcie nam otwarcie, co sen tak straszliwy oznacza?

— Miłościwy ksiązę — odrzekł z powagą Lezdejko — trudniej jest, niż się wam zdaje, odgadnąć tajemnice woli bogów wyroczej, bo to bez ich łaski stać się nie może. Jutro przed świtem rozpoczniemy święte ofiary, potem spełni się wasze życzenie. Ale zniknięcie tego tura, któregoście własną ręką zabili, o czem nas uwiadomili wasi wysłańcy, źle bardzo wróży dla naszej potężnej krainy. Tur jest zwierzęciem najmiłszym bogom tych lasów, w których tkwi cała siła litewskiej potęgi. Póki stawać będzie turów i lasów, tak nam przepowiedziano od wieków. póty Litwa władać nie przestanie ościennymi narodami Dałby to najwyższy z bogów Perkun, abyśmy odwrócić zdołali grożące nam z góry niedole. Lecz całe ich brzemień od najlichszego pierwiastka, z winy ludzkiej pochodzi. O, Giedyminie najpotężniejszy ksiązę litewski! zaryzycie w głąb serca waszego, w którym najtajemniejsze żądze, jak w jasnym źródle czytamy. Tyle lat i wie-

ków kwitnęła potężna Litwa pod tarczą ojczystych bogów, którym cześć nie obłudną składali poprzednicy wasi w pokorze. Gdzież się te czasy podziały? Od chwili nieszczęśliwego Mendoga poszły w poniewierkę i wzgardę dawne ojców naszych obrzędy. Dziś sroga zaraza od obcych przejęta każe się naigrawać z Perkunosa posągów, a święte dotąd weże, poczytują za płazy nikczemne! Cóż zyskał Mendog, że wyżebraną od cudzych kapłanów koroną uwieńczył skronie zwycięskie? „Patrz końca!“ wołają na nas w codziennych przestrobach bogowie, a kogo ci bogowie, władcy niebios i ziemi, chcą zgubić, temu natchną myśli nieprawe, chwytania się obcych zwyczajów i wiary. Nie dosyć, że wstydnym nierządem ostatki życia zbezcześcił, lecz nadto tym ślepo zaufał, których srodze obraził. Któż nie wie jak nędzną śmiercią zakończył dni swe ten książę? Poległ on z ręki własnego synowca Doumanda, a Strojnat, który z nim razem targnął się na życie stryjowskie, nie długo potem sromotnym zgonem zbrodnię swoją okupił. Nie był szczęśliwszym na tronie Wojsielko, ostatni z potomków Mendoga. Tak całe plemię przeniewierców ojczystej wierze zniknęło z ziemskiej posady. O, Giedyminie, nasz wielki zwycięski

i chwałą okryty monarcho! Za cóż podobne myśli przechodzą niekiedy przez waszą głowę szanowną? Zawierzcie staremu i oddanemu służbie bogów Lezdejce: kto wiarą swych ojców pogardzi, kto zdepcze zuchwałą nogą z mlekiem wysrane szanownych przodków zwyczaję, ten nie dożyje w szczęściu i pokoju późnej starości, ten zginie marnie od tych oręża, których przewrotnym naukom hołdował. Ale pocóż zawczesnem uchyłaniem przyszłości smutne wypadki uprzedzać? Obaczcie się w swych błędach, waleczny książę, a jutro, skoro tylko pierwsze zorze oświecą te lasy, dowiedziecie się z ust naszych o woli tych, którzy światem władają.

Całą noc trwały przygotowania do zapowiedzianej ofiary. Padaly na rozkaz Lezdejki pod ostrą siekierą wyniosłe sosny i odwieczne klony, a stosy, układane według starożytnych zwyczajów, równały się najwynioślej szym budynkom. Znoszono pobitą w świeżych łożach zwierzyne: sprowadzono woły i konie, które miały nazajutrz zginąć pod nożami sprawców świętej ofiary. Gdzie tylko pokazał się przy blasku pochodni Lezdejko, wołano wszędzie: „Niech żyje krywe krywejto!“ i upadano na klęczki przed jego obliczem. „Precz z temi, którzy sprzyjają obmierzłej Krzyżaków wierze! —

wołali wszędy kapłani, a lud ich głosem i obecnością do czci ojczystym bogom zagrzany szemrał przeciw własnemu księżęciu podejrzanemu o chęć zawarcia przymierza z wyznawcami Chrystusa.

Oczyszczono z drzew starożytnych całą tę górę, która Świntoroża nosiła nazwisko. Nazajutrz, ledwie świtać poczęło, poważny wiekiem Lezdejko rozpoczął dziwne balwochwalstwa obrzędy. Już krew z pobitych zwierząt spłynęła potokiem; już porabane ich szczątki i pokładzione na stosy razem z drzewem spłonęły, gdy przyodziany w obrzędne szaty Lezdejko, powstawszy z ziemi, na której długo leżał okryty skórą z białego niedźwiedzia, głosem potężnym zawołał:

— Perkunie, i ty, straszliwy Patelo! jakież nam objawienia zsyłacie? Zewsząd widzimy grożące ciosy świętej wierze przodków naszych pobożnych. Następco Witenesa, najdzielniejszego z synów tej ziemi! inaczej nie odwrócisz zagrażającej nam burzy, jak rychłem tego spełnieniem, co wam przez tajemnicze znaki we śnie objawili bogowie. Wilk ulany z żelaza — zamek potężny oznacza, którego wieże i mury, jakkolwiek z kruchej ziemi wzniesione, za wsparciem bogów wyrównać mogą trwałości żelaza. Głos nadzwyczajny wróży roz-

głośną sławę dla zamku, a wycia, jakby tysiąca wilków, są znakiem rozlicznych głosów z tysiąca domów, które w około grodu powstaną. Strach, jakim byłeś przejęty, jest wieszczbą, że to potężne i sławne miasto strasz-nem się stanie, jeżeli zwyczaje i wiarę swych przod-ków zachowa. Tu oto, przy zbiegu Wilii z Wiejką, tu na zgliszczach twych poprzedników, masz założyć to miasto. Ale wszelki początek bogom się samym nale-ży. Dla tego tuż obok zamku wznieść wam wypada okazałą dla Bogów Litwy świątynię, bo odkąd z Kier-nowa do Trok przeniesiono stolicę, odtąd gniewni bo-gowie żądają innego miejsca na święty przybytek. Mia-sto, a przyszła całego państwa stolica, niechaj Wilna nazwisko otrzyma. Waria jest tego ta rzeka, która przerzyna tyle niw żyznych i odwiecznych lasów, a któ-rej cześć należną składając w tej chwili, poświęcamy ostatki spalonych ofiar według odwiecznych obrzędów. A jak niniejsze popioły i szczęty w jej nurty ciskamy, tak niech zginą na wieki oddane na łup wiatrom i wo-dom popioły tych, którzy się targnąć ośmielią na świę-tą cześć bogom ojczystym składaną i na godne posza-nowania, a starożytne Litwy obrzędy!..

Gdy przestał mówić kapłan, oczyszczono natych-

miast z drzew i zarośli powierzchnię góry, od tego zdarzenia Górą Turzą nazwanej, a dzielny Giedymin oddał się z usilnością budowie zamku, świątyni i miasta, które w przeciągu lat czterech stało się godnem nazwiska stolicy Wielkiego księstwa Litewskiego.

Tę legendę o założeniu stolicy Litwy przekazały nam wieki.

Za pierwszą wzmianką o szczerej chęci Władysława Łokietka połączenia związkiem małżeńskim syna Kazimierza z Aldoną, rozradowało się mocno szlachetne Giedymina serce. Pragnął on z duszy wejść w bliższe z Polakami stosunki, by wspólną bronią położyć tamę łakomstwu i uciskom Krzyżaków. Zalecił więc ksiązę kasztelanowi grodzieńskiemu, aby uprzejmem polskich posłów przyjęciem zaskarbił sobie ich serca, gdy do Wilna zbliżać się będą.

Jakoż zawiadomiony o zbliżaniu się posłów kasztelan, wysłał przeciw nim świetny poczet jazdy. Pierwszy raz wtedy widziano proporce ozdobione pogonią powiewające obok tych, na których białe orły jaśniały.

Dwieście lat miało jeszcze upłynąć do połączenia tych znaków węzłem niestarganego na wieki braterstwa.

ROZDZIAŁ VII.

Dawid, kasztelan grodzieński, był jednym z pierwszych wodzów i poufalców litewskiego księcia. W nagrodę licznych zasług dał mu Giedymin starszą swą córkę za żonę i przelał na niego część swojej władzy w kraju graniczącym z Prusami i Polską. Żaden czyn znakomity na Litwie, żadna wojerna wyprawa nie mogła się obejść bez niego. Znali go dobrze i lękali się Krzyżacy. Nieraz poczuli Rusini siłę jego oręża. Nie obcym był on i Polsce, gdy w niedawnem zniszczeniu Dobrzyńskiej ziemi, którą za własność swoją poczytywali Krzyżacy, przywodził hufcom litewskim i z niemalym plonem powrócił do domu. Wiek jego średni, wzrost nizki, wzrok bystry, silna i krzepka cia-

ła budowa. Gdy w burce podbitej białym niedźwiedziem i w czapce rysiej wyjechał przeciw Polakom, tak go ujęła szanowna postać Spytki z Mielsztyna, że podawszy mu swoją prawicę, długo bardzo rozmawiał w nieobcym sobie polskim języku, zapomniawszy o spóźnionej już porze, która mu nakazywała prosić przybyłych gości do zamku.

Na dziedzińcu zamkowym ujrzeli Polacy kilka niedźwiedzi przykutych łańcuchami do drewnianych parkanów. Chowane wilki wyły przeraźliwemi głosy w budach, w których je więziono. W ogromnych klatkach drewnianych znajdowała się nie mała ilość sokołów i orłów. Było oddzielne miejsce, w którym poświęcone węże, zwane Giwojtos, trzymano. Rozłożone zostały nie małe ognie, a przy nich polscy kopijnicy, pomieszczeni z strażą Dawida, grzeli się i koczowali noc całą, posilając się miodem i pieczonem na rożnach z drzewa mięsiwem.

Wprowadziwszy Spytki z Mielsztyna i poselstwo do obszernej izby, chciał im Dawid okazać na wstępie i swój dostatek i całą a dosyć liczną rodzinę.

— Oto jest — rzecze — nasza małżonka Strygula; oto są dziatki, któremi nas obdarzyli bogowie.

Strygula, córka Giedymina, była średniego wieku i wzrostu, pięknej i dosyć powabnej, lecz raczej męskiej postaci. U rzemieennego pasa tkwił sztylet, w róg jeleni oprawny, Kołczan z kilku strzałami i łuk niewielki wisiał u boku. Włosy splecione w liczne warlocke i kolpak na głowie dopełniały jej napół rycerskiego, napół dzikiego ubrania. Czarne i żywe oczy wlepione były w cudzoziemców, okazując zajęcie z podziwieniem, radość pomieszaną z obawą.

Dano niebawem ucztę, do której sami mężowie zasiedli, poczem Strygula, skłoniwszy się swym gościom, odeszła z dziećmi do innej komnaty.

Gdy Polscy posłowie udawali się do przeznaczonej im na noc izby, gdzie znaleźli łoża na ziemi z suchego liścia, pokryte rogożami z lipiny, świecił im stary niewolnik suchymi szczepami z smolnej sośniny; niewolnik ten, jako polskiej mowy świadomy, był wyznaczonym ku ich usłudze. Zygmunt z Krystynem uważali wśród uczt, że ten nieszczęsny starzec, podając im napoje i jadła, wpatrywał się bacznie w oblicza posłów, a czasem nawet lży gęste, które starał się ukrywać, wytryskując z przygasłych już powiek, na siwą jego brodę ściekały. Gdy się ujrzał między Polakami

bez świadka, upadł na kolana przed Spytkiem z Mielsztyna i nie mogąc zrazu żadnego głosu z swych piersi wycisnąć, płakał rzewnie i ścisnął z całej swej siły kolana wojewody krakowskiego.

— Czegoż chcesz od nas? — zapytał go nareszcie wzruszony tym widokiem Spytek.

— Ach, Miłościwy Panie — odrzekł ze łzami — Polak jestem... Wasz ziomek... trzydziestoletni więzień... niewolnik najnieszczęśliwszy z śmiertelnych... przebaczenie, mówić nawet nie mogę...

— Powstańcie z ziemi, godny politowania starszku — przemówił Spytek z Mielsztyna — spocznijcie cokolwiek na ławie; ulżycie sercu, znajdując się pośród tych, którzy są waszemi ziomkami i braćmi!

— Prawdaż to jest co słyszę — rzekł podźwignięty z ziemi — więc Bóg ojców ulitował się nad nami przed zgonem? Ach, nadzieja dożycia tej chwili dawno już w sercu naszym skonała. Nikt że tu nas z pogranie nie słyszy?... mogążli mówić i płakać swobodnie?... O, dozwólcie nam tego, czegośmy już nie doznali od niepamiętnego czasu. Padnijcie na kolana wraz ze mną i zmówcie wspólnie tę boską modlitwę, której nas Zbawiciel nauczył.

Stało się według życzenia nieszczęśliwego starca. Gdy potem usiadł i wolniej nieco oddychać począł, zapytał go Spytek z Mielsztyna o przygody życia i miano.

— Nazywano mię — odrzekł mu po chwili — tak jest, nazywano mię przed laty Andrzejem. Dziś przez urągowisko z sędziwego wieku i oburzenia, które nas na widok obrzędów pogańskich ogarnia, Drzejem mianują. Mieliśmy niegdyś dostatnią chudobę, miłą i liczną rodzinę, wszystko to dla nas na wieki przepało; a miano, którem się zaszczycali przodkowie, znikło już z osłabionej wiekiem i niedolami pamięci. Wyliczcie nam, żebrzę, te szlachetne imiona, które dziś kwitną w lubej ojczyźnie, może z nich jakie, zabrzmiawszy mile w mych uszach, przywiedzie na pamięć to, któreśmy odziedziczyli po przodkach.

— Nie snadniejże wam przyjdzie — odezwał się Spytek — po tych przygodach, jakie was potkały, dojść łączącego je wątku i z wymienienia miejsca, na którym wzięci byliście w niewolę, wskazać nam ślady miana i rodu?

— O, miłościwy panie! — rzekł na to starzec — chciałbym to z serca uczynić, ale nic a nic nie pomnę. Cięty śmiertelnie tu otc w głowę, w nieszczęsnej z Li-

twą potyczce, zostawiony pomiędzy trupami, cudem jedynie do życia wrócony, od tego czasu straciłem pamięć, która czasem tylko powraca, lecz w chwili mocniejszego wzruszenia odbiega zaraz daleko. Byłem ja niegdyś do was, miłościwi panowie, podobny. Ten świetny kolor, który na waszych szatach jaśnieje, i nasze barki podobno okrywał. Miałem ja żonę i dziatki, a jakie wdzięczne i rozkoczne dziateczki! już z nich zapewne i kostki jednej nie zostało na ziemi! wszyscy w plon poszli zwycięskiej Litwie, a twarda i sroga jest u pogan niewola. Iluż to braci naszych przygniotły te głazy, których rękami i potem powstały zamczyńska i wieże! Na ileż udręczeń i zgonów te już gasnące oczy patrzyły! Pomnę, jak dnia jednego, niosąc kubel wody do wapna, ujrzałem w pętach chłopięta walczące z ogromną kłodą, którą im nad siły i możność z miejsca na miejsce przetaczać kazali Litwini. Wzburzony tem okrucieństwem, sarkać na barbarzyńców począłem. „Ochrzczony wilku — zawoła z nich jeden — jakież masz prawo przyganiać temu, co z niewolnikami naszymi czynimy? Oto jest skutek twoich pomruków! W tej chwili obmierzły tyran smagać począł bez litości chłopięta, za to, że nadto w górę kłodę wytoczyły

z mozołem, a rozkazawszy spychać ją zuowu kilku sążnistym poganom, postawił z chłopców jednego naprzeciw, by się okrągłe drzewo nie stoczyło daleko. Pchnięto je mocno z wysoczyzny, a nędzny dzieciuch, nie mogąc wstrzymać kłody wątłemi siłami, upadł i został od niej zgnieciony. Ach, płaczcie ze mną rodacy! ten biedny dzieciuch, był naszym synem najmłodszym. Padłem bez zmysłów na ziemię. Rana, której ślady dotąd widzicie, otworzyła się na nowo i od tej chwili pamięć wszelkiej przeszłości stała się podobną do marzeń człowieka śmiertelną złożonego gorączką. O, pozwólcie mi, bracia, odetchnąć przez chwilę bo czuję, że dłużej mówić nie zdołam. •

— Zaczny Kotwiczu, kasztelanie łączycki — rzekł wtedy Spytek z Mielsztyna — raczcie przybliżyć do ust nieszczęśliwego kilka kropel wina, może ten napój siły jego ożywi.

— Kotwicz? — zawołał starzec, zerwawszy się z swego siedzenia — któż to imię nasze wymienił? Kotwicz! tak brzmiało w uszach naszych, od dzieciństwa aż do stracenia wolności. O, mury blizkiej imion naszych Łęczycy! któż z was, miłościwi panowie, jest rządcą tego rodzinnego nam grodu?

Przez ten czas Jakób, kasztelan Łęczycki, patrzył jak w tęczę w zmieniające się co chwila starca oblicze. Nareszcie uniesiony uczuciem rzucił się w jego objęcia i odrzękł, ściskając go z serca:

— My to jesteśmy, luby nasz a od lat trzydziestu stracony bracie! Jakto, nie poznajesz-że jeszcze drugiego po was z licznej rodziny — Jakóba?

— O, bracie! — przemówił starzec, zalewając się łzami — o, drodzy sercu memu rodacy! nie oszukujcie mnie proszę! Przed chwilą ledwie nie bluźnił opuszczającej mnie opatrności; teraz przeniesiony jak czarodziejską prawicą w niebo lubych i drogich pamiątek, gdybym z niego został stracony, nie masz męczarni, któraby mojej zrównała. Powiedźcie przez litość nad starcem, jestemże ja doprawdy Kotwiczem?

— Nie wątpcie o tem! — odpowiedział mu Jakób. — Trzech nas wyprawilo się z domu pod chorągiew Kazimierza księcia Łęczyckiego, kiedy okrutny Witenes wpadł niespodzianie przez Mazowsze do Polski. Wiadome są wszystkim smutne wypadki nieszczęśliwej pod Sochaczewem rozprawy. Poległ w kwiecie wieku nasz pan i książę. Walczyliśmy wszyscy trzej tuż, obok siebie. Jan, brat najmłodszy, skłuty przez Litwę na-

tychmiast ducha wyzionął. Wy, mocno ranieni, zostaliście na placu. Mnie ocaliła jedynie wszechmocnego prawica.

— Tak jest — zawołał Andrzej — wszystko wraca w krwawych obrazach przed nasze oczy i pamięć. Jeden z wodzów litewskich kazał mnie opatrzyć i leczyć, a gdy się rana nie okazała śmiertelną, zabrał z sobą w nadziei bogatego okupu i zawlókł do Litwy. Tutaj z rozdarciem serca srogą powziąłem wiadomość, że droga żona moja i dzieci podczas tego napadu, w plen zajętemi zostały. Traf okropny zrzucił, że byłem świadkiem srogiego zgonu jednego z mych synów. Lecz co się stało z resztą rodziny, nigdy i nigdzie dowiedzieć się nie mogłem; pewnie nie żyją, bo dziki zwycięzca nie oszczędzał krwi chrześcijańskiej i życia. A tyle zamków i gmachów, ile ich odtąd powstało, spoczywa na kościach tych ziomków, którzy je swemi rękami dźwigali. Gdzie tylko świeże mury lub grody ujrzycie, szukajcie bacznie, tuż przy nich wzgórków sterczących i płaczcie, gdy je zoczycie. Tam spoczywają ciała tych braci, którzy pod ciężarem trudów i ciósów, lub pod pletniami pogan polegli. Módlcie się, bracia, o ich zbawienie, bo nie raz skazanym na dolegli-

we obelgi i męki, wysłiznęły się bluźnierstwa przeciw Bogu samemu. Nas po dziesięciu latach najokropniejszej niewoli szczęśliwsza dola oddała w ręce Dawida. Odtąd wlecemy to nędzne życie, spełniając wolę łagodniejszego od innych pana. Lecz oddawna już znikła w sercu naszym nadzieja ujrzenia przed zgonem lubej ojczyzny i wolnych braci, gdy litościwa Opatrzność sprowadziła was w te miejsca, snadź dla tego jedynie, abyśmy nie skonali bez chrześcijańskiej pociechy. Ale powiedzcie nam, bracia, w jakim stanie zostaje droga nam ojczyzna? Szarpiąz nią jeszcze dawne zatargi i wojny? Jest-li nadzieja, ażeby starożytna Piastów dziedzina wróciła do pierwiastkowej świetności i siły? Żyjeż-li jeszcze Władysław, syn Kazimierza, Sieradzki i Kujawski książę?

— Żyje — odrzekł mu Spytek z Mielsztyna — i jako król a pomazaniec boży nad całą Polską panuje. On nas wyprawił w poselstwie do Litwy: on nam zalecił nad wszystko, abyśmy nieszczęśnych braci, jęczących po turmach i lochach litewskich, lubej ojczyźnie zwrócili.

— O, Boże mych ojców! — rzecze z uniesieniem i łzami Andrzej — widziałem ziomków moich przed

zgonem; uściskałem lubego i jedyne go brata, słyszałem o pomyślnościach i błogosławieństwach wylanych na Polskę, dożyłem złączenia rozszarpanych jej części, już więc mogę umierać spokojnie.

Całą noc przepędzili polscy posłowie na różnych rozmowach z Andrzejem Kotwiczem. Gdy nazajutrz Dawid, kasztelan grodzieński, zabierał się do przeprowadzania ich ku Wilnu, przystąpił do niego kasztelan łęczycki i rzekł w te słowa:

— Doznaliśmy gościnności pod waszym dachem, umysł wasz rycerski wszędy się godnym okazał pięknie nabytej sławy i zacnego imienia. Jednego jeszcze dopraszamy się od wspaniałości uczuć, które wami władają. Niewolnik, dodany nam do służby, jest ziomkiem naszym lecz waszą własnością. Powiedzcież nam otwarcie i szczerze, jakiego okupu za jego wolność żądać od nas będziecie?

— Okupu?... — odezwał się Dawid. — Tak jest, okupu—przemówił kasztelan łęczycki. Ileż więc srebra lub złota żądacie za uwolnienie tego Polaka?

— Wasze pytanie dziwić mię nie mało poczyną. Nie mamy wprawdzie srebra i złota — odrzeknie Dawid — ale też bez tych kosztownych, a mniej przy-

datnych rzeczy obejść się pewnie zdołamy. Wszelako okup wymienionego przez was jeńca musi być znakomitym i drogim, bo cenę jego zbyt wysoko trzymamy. Odbierzcie go zatem do rozporządzenia waszego, a dajcie mi pełną ręką to, co wyżej nad wszelkie skarby cenimy, to jest rycerski szacunek.

Uściskał Jakób Kotwicz prawicę szlachetnego Litwina.

— O, drogi bracie! — zawołał na stojącego opodal Andrzeja — złóż dzięki najwyższe temu mężowi, który był dotąd panem łagodnym, a dziś jest waszym wybawcą.

ROZDZIAŁ VIII.

Spoczywał na pniu dębowym Giedymін, wielki książę litewski, przyglądając się budowie powstającego Wilna. Już w bliskości zamku dziwiono się okazałej Perkuna świątyni. Wśród przyległego gaju, pod rozłożystym dębem stało skromne, lecz schludne mieszkanie, do którego przeniósł się był nie dawno z Trok niedalekich, arcykapłan Lezdejko.

Gmach, wznoszący się pod okiem księcia, miał być poświęcony ku czci Okopirnosa, bożka nieba i ziemi. Starsi Giedymina synowie przewodniczyli różnym robotom i rycerskim zabawom, młodzi około sędziwego ojca na murawie igrali.

Najpierwszy Monwit, naznaczony na Słonimskie

i Kiernowskie księstwo, w burce podbitej szkarłatną tkanką, roznosił skwapliwie dozorcóm robót ojcowskie rozkazy. Niecierpliwy trudów wojennych Narymund strzelał w bliskości z rówiennikami swymi do celu. Olgierd z Korjatem, pilnując cieśli, sami nie litowali rąk swoich do pracy. Biegły w toczeniu koniem Kiejstut, wśród zgielku ludzi i wozów, wywijał na karym żmudzinie. Lubar z Jawuntą próbowali swojej zrzeczności na drewniane pałasze. Widok ich rozweselał ojcowskie serce przyszłą mężów rycerskich nadzieją.

Wtem wyprawiony od kasztelana grodzieńskiego goniec doniósł o zbliżanie się polskiego poselstwa do Wilna. Pospieszył Giedymin z dziećmi na zamek i wydał natychmiast swemu dworowi stosowne rozkazy. Szemrał lud cały, przewidując niemiłe dla siebie z Lachami sojusze.

Gdy Spytek z Mielsztyna z całym orszakiem poselstwa stanął na zamku, gdy w krótkiej a dobitnej do Giedymina przemowie wyłożył uprzejmie chęci pana swojego i króla, gdy w pochlebnych wyrazach określił swą radość z oglądania w murach stolicy tego księcia, którego zwycięskie ramię tylekroć pokonało wspólnych nieprzyjaciół Krzyżaków, a obszerne Włodzimierza

Wielkiego dzierzawy zamieniło w podległe Litwie powiaty, podał mu swoją prawicę Giedymin i z całym orszakiem na ucztę gotową zaprosił. Przy długim i obficie zastawionym stole, tuż obok ojca, dwie jego córki Aldona i Daumila zasiadły.

Nie miały już matki.

Pomimo całej prostoty obyczajów w każdym poruszeniu i słowie, dziwili się nie mało Polacy tym wdziękom, któremi je hojnie obdarzyła natura. Aldona miała rysy twarzy wydatne, czarne włosy i oczy i ki- bić wspinała. Bystre wejście żywiość umysłu zdradzało.

Poważny Giedymin, rzadko bardzo obracając swą mowę do córek, ciągle prawie rozmawiał z siedzącym na przeciw Spytkiem z Mielsztyna.

Aldona z chęcią zgodziła się na oddanie swej ręki królewiczowi polskiemu. Na wieść o tem ciągnęli do Wilna polscy więźniowie z różnych twierdz i zamków litewskich, nie przewidując bynajmniej przeznaczenia swojego, widziano pomiędzy nimi wielu poważnych starców, którzy porwani z łona swych rodzin za młodu, pół wieku cierpień zniesli z męską stałością. Dzielne ich dłonie, nawykłe niegdyś do władania orę-

zem twarda praca znękała. Już oni stracili na zawsze nadzieję, aby ich kości w ziemi ojczystej i blisko miejsc poświęconych Najwyższego chwale spoczęły. Widziano urodziwe niegdyś dziewice, zgięte trudami i wiekiem, wzywające oczyma litości, której żądania ustom powierzyć nie śmiały. Widziano potomków najszlachetniejszych rodzin piastujących na rękach, nogach i szyjach obmierzłych kajdan znamiona. Stali w milczeniu na jedno miejsce spędzeni, czekając z odrętawiałością, do której ich długie wprowadziły nieszczęścia, na nowe papnów swoich wyroki. Było ich wszystkich dwadzieścia cztery tysiące.

Wyszedł z zamku Giedymin, prowadząc za rękę urodziwą swą córkę, a za nim świetny orszak polskiego poselstwa. Uradowały się nieszczęsnych oczy na widok wolnych współbraci, lecz serca nie mogły powziąć dalekiej od nich nadziei.

— Więżniowie — rzecze Giedymin — od chwili, gdy te słowa słyszycie, jesteście wolni. Dziękujcie niebu, dziękujcie tej oto dziewicy, która przeznaczona za małżonkę dla syna króla waszego, przewodniczyć wam będzie w powrocie na łono ojczyzny. — Ty zaś, o, córko nasza Aldono, stań się dla nich opiekunką i matką.

Poważny Spytku z Mielsztyna, w wasze ręce składamy to wiano, które niechaj świat cały przeświadczy o całej pełności szacunku naszego dla Władysława króla i dla waszego narodu.

Gdzież jest ten język, któryby choć w części określił tę radość, jaką uczuli oswobodzeni Polacy? Wznosili ręce do niebios, padali do nóg Giedyminowi i Aldonie i własnym rodakom, całowali ich ręce i szaty, płakali, umierali z radości. Dzień cały przeszedł, a jeszcze nie mieli dość czasu wzajemnych uczuć wynurzyć. Widok radości tylu tysięcy różnego ludu i stanu rozrzewniał serca najdzikszych nawet Litwinów.

Gdy nazajutrz wszystko już było do drogi gotowe, przywoławszy Giedymin Spytkę z Mielsztyna i dwie poważne matrony, które miały towarzyszyć Aldonie do Polski, dawał swej córce w ich obecności rady, przestrogi i napomnienia ojcowskie.

Nareszcie dając jej uścisk ostatni, takimi słowy pożegnał:

— Idź więc, córko nasza najdroższa, tam, gdzie cię nieba wzywają. Bądź wierną i powolną przez całe życie twemu mężowi a panu, bądź wdzięczną ojcu do zgonu, bo on cię wypiełgnował na swoją przyszlą

pociechę, pomnij i na tę miłą ojczyznę, kolebkę twego dzieciństwa, a grób twej matki i wszystkich przodków rodu twojego.

Do głębi duszy wzruszona księżniczka łązy rzuć wne dała za całą odpowiedź.

Ciągnął powoli za swoją wybawicielką i przysłała panią orszak wracających z niewoli litewskiej Polaków. Spytek z Mielsztyna porządek drogi ułożył. Nic się ważnego nie działo bez jego stanowczych rozkazów. Nie przepominał o niczem, coby tylko sprawić mogło jaką rozrywkę przyszłej małżonce królewicza Kazimierza.

Sędziwy kapłan, który na granicy Polski czekał na skutek wysłanego do Wilna poselstwa, złączywszy się z prowadzącym Aldonę orszakiem, sposobić ją począł do pierwszych kroków i poznania wiary Chrystusa. Niemyślnie prawdy, prostym, łagodnym i jasnym wykładane sposobem, przylgnęły wkrótce do czystego jej serca.

— O, mój ojczel! — nie raz mawiała — poznaję dokładnie, jak wielka zachodzi różnica, pomiędzy wiarą, w której wychowaną zostałam, a między prawdziwym światłem jasnej, pocieszającej i z niebios samych

czerpanej nauki. Ach, cóż się stanie z mem sercem, gdy już chrzest święty resztę mych błędów oczyści!

Wnet doszły do polskiej stolicy pomyślne wieści o dopełnionem szczęśliwie poselstwie do Litwy i o zbliżaniu się narzeczonej królewicza Kazimierza. Pocieszał swą starość tą myślą Władysław Łokietek, że mu Najwyższy tak milej chwili dożyć pozwolił. Królowa Jadwiga wznosiła ręce do niebios i napominała syna, aby się przeniknął całą ważnością przyszłego majestatu. Radość była powszechną. Najznakomitsze i najuboższe rodziny wyglądały z tęsknotą jeńców litewskich, karmiąc lubą nadzieję, że między nimi ujrzą może tych, których już oplakali przed laty.

Za zbliżeniem się Aldony do Krakowa, wyprawił król Władysław syna swojego z świetnym pocztem zbrojnej młodzieży naprzeciw przyszłej małżonce. Liczne grono dobranych śpiewaków i muzyków towarzyszyło królewiczowi. Już był pomiął wieś Mogiłę, gdzie cały orszak jego pozostał i sam jeden bądź z ciekawości, bądź dla powzięcia dokładnej wieści jak daleko się ta znajdować może, która miała dzielić przyszłe losy jego żywota, puścił się prostą drogą niezbyt oddaloną od brzegów Wisły, gdy spostrzegł tuman kurzawy

wznoszący się na przeciw miejscom, które w największym pędzie przebywał.

Spodziewając się tego Spytek z Mielsztyna nie odstępował ani na chwilę boku księżniczki litewskiej.

Ujrzawszy jednego jezdca, pędzącego ku orszakowi swojemu, mniemał, że to był goniec do niego z Krakowa wysłany.

Jakże się zdziwił, gdy w tymże jeźdźcu, który już go pomiął, poznał syna króla swojego i pana.

Biło gwałtownie serce Aldony, już dla nowości położenia, już z niepewności przyszłego losu swojego. Zatrzymał się orszak cały na rozkaz wojewody krakowskiego i w tejże chwili wszyscy pozsiadali z koni. Poglądał w milczeniu przez czas niejaki Kazimierz na urodziwą księżniczkę, która spuściwszy oczy ku ziemi, usłyszała po chwili te słowa z ust Spytki z Mielsztyna:

— Miłościwy królewiczu i panie, oto jest dziewczica, którą wola potężnego Boga i wspólna zgoda rodziców przeznacza waszej miłości na dozonną towarzyszkę żywota. Córkę dzielnego Gedymina, wielkiego książęcia Litwy, oto jest księżę, którego wkrótce uznacie za małżonka i pana.

Wtedy Aldona cichym głosem wyrzekła:

— Niechaj się spełni wola niebios nad nami!

Siedli wszyscy na konie. Jechał królewicz obok księżniczki. Inni Polacy z rozkazu Spytka w niejakej odległości ciągnęli. Na wstępie do wsi witali ich kmięcie przez głośne okrzyki. Wiejskie dziewice rzucały pod nogi polne kwiaty, których im dostarczyła obficie wiosna. Za zbliżeniem się do miejscowego kościoła, przełożony duchowieństwa przyjmował królewicza według zwykłego obrzędu.

Cała ludność Krakowa poruszyła się dla widzenia lub uczestnictwa przy wjeździe księżniczki litewskiej. Prandota z Ostrowa na czele senatorów i przedniejszych panów do wsi Czyżyn wyjechał. Za zbliżeniem się przyszłych małżonków, otoczonych świetnym rycerstwa orszakiem, witał kasztelan krakowski długą, a serdeczną przemową.

Zwiększały się co chwila tłumy ludu spieszącego dla powitania przyszłej pani. Rozstawione po wielu miejscach muzyki czyniły zachwycającą tę podróż dla młodej Aldony. Już wieże murów miasta i krakowskiego zamku i licznych świątyń uderzały swą okazałością zdumiałe jej oko. Przy pierwszej bramie stolicy

ujrzano wójta krakowskiego na czele rajców. Widziano pomiędzy nimi i młodego Mikołaja Wierzyńka, tak sławnego za panowania Kazimierza. Ten, biorąc przed innemi pierwszeństwo tak w dostatkach jak i w wymowie witał imieniem miasta księżniczkę litewską, a jeden z najsędziwszych rajców na znak gościnności i miłego przyjęcia, podał jej na srebrnym półmisku chleb, sól i złoto. Widok okazałego miasta, którego ulice i okna napelnione były tłumami ludu, odgłos dzwonów, który się dał słyszyć ze wszystkich świątyń, za ukazaniem się królewicza i jego przyszłej małżonki, głośnie radości okrzyki, powiewające chorągwie cechów, świetne i dzielnie uzbrojone rycerstwo, wszystko to było świetnym, a zachwycającym widokiem. Gdy orszak prowadzący Aldonę wstąpił na Wawel, ujrzała przed gmachem świątyni zamkowej liczne duchowieństwo w okazałych kościelnych szatach, któremu przewodniczył poważny wiekiem i dostojenstwem biskup krakowski. Błogosławieństwo udzielane przeciągającym kolejno, pokora, z jaką najpierwsi panowie zbliżali się do szanownego kapłana i uroczystość chwili, podczas której głębokie panowało milczenie, dawała wyobrażenie tej czci wysokiej, z jaką przystępowali Polacy

do przybytków poświęconych chwale prawdziwego Boga i do tych, którzy z czystym sercem przewodniczą świętym obrzędom. Weszła Aldona na zamek prowadzona przez królewicza i poważnego Spytka z Mielsztyna. W pierwszej komnacie ujrzała wychodzące naprzeciw siebie królestwo. — Upadła do kolan wraz z Kazimierzem przysłym swoim rodzicom, a król Władysław, podnosząc ją od swoich kolan, temi słowy przemówił:

— Składamy gorące dzięki Bogu wszechmocnemu i wam, panie wojewodo krakowski, za sprowadzenie nam z dalekich krain tak milej synowej.

To rzekłszy, pocałował w czoło zarumienioną i pomieszana Aldonę.

Królowa Jadwiga, nie mogąc z radości przemówić i słowa, przycisnęła ją do swego serca.

ROZDZIAŁ IX.

Wśród wahania się i niepewności Wincentego z Szamotuł, Krzyżacy nie zaniedbywali niczego ku skłonienu do otwartego buntu dumnego i rozjątrzonego starca. Więc gdy się po całym kraju rozeszła wiadomość o przymierzu Polski z Litwą i o małżeństwie królewicza Kazimierza, przybył do Szamotuł Niemiec Otto de Luterberg, wielki komandor, i wystawiwszy w najwyższych kolorach ważność obecnej chwili, naglił wszelkimi siłami wojewodę poznańskiego, aby raz przecie skłonić się zdołał do wspólnego z Krzyżakami działania.

Jednocześnie ostrzegli Niemcy tajemnie króla Władysława o znoszeniu się z zakonem wojewody poznań-

skiego, ażeby innej dla niego nie zostawić drogi, prócz otwartego buntu lub zguby.

Trafił do celu ten zamiar.

Wzmogły się podejrzenia królewskie do tego stopnia, że niewinnego nawet Zygmunta na każdym kroku śledzić nakazał, i że już głośno mówiono w Krakowie o przedsięwzięciu stanowczych działań przeciwko Wincentemu z Pomorza. Gdy Otto de Luterberg w zręcznie prowadzonej rozmowie wzniankę o tem nasunął, zadrżał w swej duszy wojewoda poznański, a każde jego spojrzenie i słowo trwogę wewnętrzną zdradzało. Lecz gdy następnie okazał mu Krzyżak odebrane z Krakowa na piśmie nowiny, pomieszanie Wincentego żądnych granic nie miało.

W tej chwili Niemiec oświadczył, że ważne sprawy zakonu nakazują mu natychmiast do Malborge odjechać.

— Jakto odjechać? — zawołał przerażony Wincenty. — Ach! nie opuszczajcie nas o, panie! w tak ważnej chwili. Tyle jeszcze spraw do załatwienia zostaje, tyle do rozwiązania wątpliwości w n.szych stosunkach, że na to czas kilkodniowy zdaje się niedostępnym i skąpym. Cóż tak nagłego macie przed sobą?

— Wyczerpała się cierpliwość nasza — odrzekł mu Otto — strwoniliśmy na próżno tyle chwil niepowrotnych, a drogich. Nieprzyjaciele nasi czuwają i łącznie można przewidzieć, że się w rychło do działania zabiorą. Możecież tego po nas wymagać, abyśmy wzorem gnuśnych umysłów i serc obojętnych na przyszłość, nie zabiegali wcześniej grożącej nam burzy? Zniknęły dla nas nadzieje skutecznej od was pomocy. Sami więc sobie radzić musimy. Wciągnięci w bój niebezpieczny przez wzrastającą pogańskiej Litwy potęgę, nękani nienawiścią króla waszego, widząc zbyt jawnie wymierzone przeciw naszemu zakonowi Polski z Litwą przymierze, chceszli, abyśmy w poniżającej gnuśności czekali na pęta, które dla nas gotują? Jeszcze znajdziemy w nas samych środki, które nam przyniosą zbawienie, a może nawet i świetne tryumfy. Ale wam, panie, należy myśleć o sobie. Radzimy z serca, abyście wcześniej zapobiegali zgubie niemyślnej. Rozjątrzony Władysław nie da się ułagodzić słowami. Już on jest świadom naszych pierwotnych zamiarów, to mu wystarczy zapewne do srogiej zemsty, którą oddycha jedynie. Zapomnieliścież o tem, jak okrutnie ukarał zawichrzoną przed niedawnymi czasy własną stolicę?

Winienże był tak wielkiej kaźni ów zacny wójt krakowski, że urodzony w Czechach pod łagodnemi i pewnemi prawami, sprzyjał dawnej swojej ojczyźnie, że nie mógł ścierpieć nieładu polskiego i uciemieżeń, których doznawali mieszczenie krakowscy rodu obcego? Czegoż on żądał w istocie po królu? Oto porządku i bezpieczeństwa dla swoich. Ale nie łatwo je otrzymać pod niepewnym berłem Łokietka? Jakaż to kara barbarzyńska i dzika poszła wślad lekkiej obrazy i winy, którą usprawiedliwiały niejako trwające w Polsce rozruchy? Zaledwie zdołał Albert unieść w całości swe życie, a ci co zaufali w łasce szczęśliwszego monarchy, targani końmi po rynku, lub żywcem w koło wplatani, w okropnych mękach dokonali szlachetnego żywota. Tak to przebacza Łokietek! Ten żywy przykład a straszny, może dziś zostać przemową do serca waszego. Kto więc nie zechce uprzedzić swej hańby i zguby, niechaj się podda smutnemu swemu losowi, lech niech zarazem nikogo prócz siebie nie wini.

— Oddajcie nam syna naszego Zygmunta! — zawołał wojewoda poznański — zwróćcie go ojcowskiemu sercu, a natychmiast odważę się na wszystko, wszystkiego wykonam, czego tylko żądacie!

— Jeśli ten młodzian szlachetny uwikłany został w zdradzieckie sidła — odpowiedział Otto — jeżeli poszedł na łup przemocy, jeśli go nawet nie ujrzyście przed zgonem, czyjaż to wina, powiedzcie jawnie i szczerze? Ostrzegaliśmy was wcześniej o podstępie uknutym pod wami przez chytrego Łokietka; błagaliśmy was nawet, abyście syna nie oddalali od siebie. Przecież popchnięci od sił piekielnych, woleliście poświęcić jedynego waszego następcę, dla odwleczenia chwili stanowczej, niżli przez rychłe działania wynieść własną potęgę nad przemożnego Łokietka-tyrana!

— Dla kogoż będę zgromadzał i zbierał? — rzeknie z złością Wincenty — komuż przekazę przyszłą mą świetność i władzę, jeżeli syn mój jedyny i drogi krwią swą i życiem winę moją opłaci?

— Takie to względy i przewidywania niepewnej przyszłości — rzeczy oziębłe Krzyżak — stawają zawsze na drodze do najwyższego celu. Gdyby się przyszło zawdy za siebie oglądać, nicby się wielkiego nie zdziałano na świecie. Ale was dręczy słabość wszystkim Polakom właściwa. Myśl wasza jest skora, leniwe serce i ramię. Zostańcież więc pośród tych murów w dawnej waszej nicości. Na próżno używaliśmy tak

długo całej potęgi prawdy i jasnych jak słońce dowodów. Niechaj was lepsze myśli zajmą około własnej całości. Bywajcie zdrowi! Lecz od tej chwili nic niebudujcie na naszej pomocy...

— Zaklinam was na Boga — odezwał się na to Wincenty — jeszcze mi podarujcie noc jedną, a potem działajcie, jak wam się zdawać będzie najlepiej. Tylko te kilka godzin pozwólcie mi jeszcze dla dojrzałego namysłu. Spóźniony wieczór nie da wam pośpieszyć w zamierzonej podróży. Jutro wraz ze dniem wszystko się rozstrzygnie. Jeżeli czas zmarnowany bez skutku cięży kamieniem ludzkiemu sumieniu często przez samo jego działanie dojrzewają najtrudniejsze na pozór zamiary. Nie gardźcie przeto tą ostatnią już prośbą starego przyjaciela waszego. Jeszcze noc jedną pod tym dachem przepędźcie, a jutro, skoro słońce zabłysznie, opuścicie nas z tryumfem.

— Niech i tak będzie! — przemówił Otto — ale to jest jedyna i ostatnia odwłoka.

Co rzekłszy, wyszedł.

Zostawiony sam Wincenty, przez długi czas siedział jak odrętwiały. Gdziekolwiek zwrócił swoje myśli, wszędy znajdował nieprzełamane trudności. Wtem

wszedł sługa i oddał mu listy od króla. Gdy je przejrzał, gniew błysnął mu w oczach, poczem natychmiast do Ottona pobiegł.

— Stało się! — rzecze do Krzyżaka — pochlebiam sobie, że darowanej nam chwili nie będziecie żalowali. Oto są listy! Z nich wyczytacie i hańbę naszą i zapowiedź srogiej przyszłości. Odjęte nam zostały rządy Wielkopolski, a na domiar poniżenia i wzgardy, żądają, abyśmy liczbę z naszych czynności zdali przed królewiczem Kazimierzem. Już on się do Poznania wyprawił, i wkrótce ten młokos sądzić ma starca zgrzybiałego w usługach dla kraju. Taka to wdzięczność tego niedawno drobnego księcia Kujawskiego, taka nagroda znojów i pracy! Ale czytajcie na Boga, te listy, które was lepiej o położeniu naszym oświecą!...

— Schowajcie te listy—rzecze Otto—myśmy o nich dawno wiedzieli. I cóż wy na to, wojewodo poznański?

— Stało się! dosyć tej zwłoki! — zawołał rozżalony i miotany gniewem Wincenty. — Także nas lekko cenicie, abyśmy się dali upośledzić przez jednego młodzika? Wprzód się Warta do źródła swego powróci,

zanim Wincenty z Szamotuł dozwoli sobie wydrzeć tę władzę, którą tak dawno piastuje! Padły już kości, wybiła ostateczna godzina. Oto jest nasza prawica. Donieście za tem wielkiemu mistrzowi, że Wincenty z Pomorzan cały się w ręce Zakonu oddaje i że przysięga dotąd nie złożyć oręża, dotąd na łożu nie spocząć spokojnie, póki nie weźmie zupełnej zemsty nad królem-tyranem i póki swych przeciwników zaciętych u nóg swoich nie ujrzy!

Krzyżak cieszył się i do zemsty zachęcał.

Wnet wszystko na zamku Szamotulskim groźną przybrało postawę. Otwarte zbrojownie i sklepy dostarczały obficie dawno przysposobionego oręża. Zbiegały się zewsząd tłuszcze stronników Wincentego z Pomorzan. Pochopny do złego Sobibor zatknął swą ręką chorągiew, na której herby Szamotulskiego jaśniały uwieńczone książęcą koroną. Stał wśród zamku liczny oddział przybocznego i dobrze uzbrojonego żołdactwa. Spieszących ludzi oddzielnie spisywano i szykowano natychmiast. Całem działaniem i buntem kierowali Krzyżacy. Za ich namową uzbrojony na pręde hufiec sposobił się do zajęcia Poznania. Przedsięwzięto ubiedz tę twierdzę przed zjawieniem się królewicza

Kazimierza. Znaczna ilość stronników Wincentego w tem mieście zapewniała o pomyślnym skutku wyprawy. Dodano obficie tęgich i odurzających napojów, nie oszczędzano hojnych obietnic i złota. Krzyki gotowych do pochodu żołądków napelniały powietrze.

ROZDZIAŁ X.

Rychło po odbytych uroczystościach weselnych wybrał się królewicz Kazimierz do Poznania dla objęcia rządów wielkopolskich. Towarzyła mu piękna i kochająca małżonka. Jaśko z Mielsztyna do boku jego i wiernej rady przydany miał polecenie kierowania sprawami młodego pana w trudnych z wojewodą Szamotulskim stosunkach.

Nazajutrz po wyjeździe syna z Krakowa, zapewniony od Litwy przymierzem w Wilnie zawartem, ruszył król Władysław z wojskiem ku Marchii Brandeburskiej dla powetowania krzywd licznych Polsce zadanych, i uwiadomiony o zbliżaniu się litewskich posiłków.

Pałał silną chęcią okazania mężstwa swojego w tej wojnie młody Zygmunt z Szamotuł, lecz go wyraźny rozkaz królewski w stolicy przy Spytku z Mielsztyna zatrzymał.

Już Dawid, kasztelan grodzieński, z tysiącem pięćset jazdy litewskiej, przez Prusy ku Marchii Brandeburskiej pośpieszał, niszcząc przed sobą pomniejsze oddziały Krzyżaków; już zabrane miasta i wsie pruskie doznały skutków przymierza pomiędzy Polską a Litwą; już król Władysław, niedoświadczywszy silnego oporu, stanął pod Frankfurtem nad Odrą, gdy się po raz pierwszy hufce litewskie z jego zastępami złączyły. — Opisują szeroko dzieje tę wyprawę

Z bogatym plonem i z mnóstwem więźniów wracały hufce litewskie do domu. I król Władysław zmierzzał ku stolicy Polski, gdy go dościgły złe wieści dwóch zbyt bolesnych wypadków. Od dawnych czasów książęta szląscy, zapomniawszy o rodzie, z którego pochodzili i o krwi Piastów, która w ich żyłach krążyła, sprzyjali Czechom, nie nazywając Władysława inaczej, jeno królem krakowskim. Dziś za namową Krzyżaków, zgodnie i jawnie ogłosili się lennikami korony czeskiej. Nie tracił dotąd nadziei Władysław odzyskania zwierzch-

niczej władzy nad tem odwiecznem przodków swoich dziedzictwem. Lecz do żywego dotknięty krokiem książąt panujących na Szląsku, zebrał rycerstwo, którego jednomyślna uchwała odsunęła na zawsze tych książąt od prawa następstwa do korony polskiej.

Tak się stargały na wieki te święte węzły, które od najdawniejszych czasów Polskę ze Szląskiem łączyły.

Drugą i dolegliwszą wieścią dla króla był bunt otwarty wojewody poznańskiego, a ztąd smutna wojny domowej potrzeba.

Wstrząsnęła się na te wieści kraina cała. Zwołał król natychmiast do broni pozostałą w domach szlachtę. Los królewicza Kazimierza, który się z niewielkim poczetem ludzi zbrojnych do Poznania wyprawił, napęłniał mocną obawą. Wszystko zapowiadało ojczyźnie nowe burze i klęski.

Jakże okropne było położenie Zygmunta z Szamotuł! Ziściły się wszystkie jego trwogi i troski, wszystkie podejrzenia przywiązanych do króla Polaków, już powszechna wzgarda ściagała jego ojca. Wszyscy na niego ze wstrętem i odrazą patrzyli.

Bolesnem dla strapionego młodziana było spotka-

nie się z surowym w zasadach cnoty i wierności dla króla Spytkiem z Mielsztyna.

— Cóż to rodzic waszmości poczyna? — zawołał pełen oburzenia i gniewu. — Na toż więc wyszły wszelkie dobrodziejstwa i łaski, któremi go król Władysław obsypał? Nie dość — że już nieprzyjaciół liczy Polska nieszczęsna, aby ją własne dzieci zabijały?

— O, miłościwy panie! — rzecze na to zgnębiony Zygmunt — jeżeli wasze szlachetne serce boleje srodze nad wydarzonym w Wielkopolsce nieszczęściem, cóż się dzieć musi w duszy tego, który bez żadnej winy i uczestnictwa w zdradzie ojcowskiej, stał się powszechnej wzgardy przedmiotem!? Spełniły się srogie niebios wyroki nad nieszczęśliwym mym domem. Nie podniesiemy już śmieie oczu ku tym, którzy się szczycą odziedziczoną po przodkach wiernością i cnotą. Ale jeszcze nam promyk nadziei przyświeca. Dozwólcie mi, miłościwy panie, podzielić trudy i niebezpieczeństwa tych mężnych, którzy dziś ciągnąć mają na przytłumienie wielkopolskich zaburzeń i na odpór napaści Krzyżaków. Aliz ta krew Nałęczów, która płynie w mych żyłach, przelana na placu bojów za świętą sprawę ojczyzny, zetrzeć potrafi spadającą z ojca na syna ohy-

dę? Przysięgam wam na tego Boga, który serca ludzkie przenika, że choćby przyszło w walce otwartej...

— Wstrzymajcie zbytnej żalości zapędy! — przerwał mu Spytek z Mielsztyna. — Nie chcemy się życzeniu waszemu opierać. Idźcie więc pomnożyć orszak tych mężów, którzy walczyć będą za swego króla i pana, a czystość waszych uczuć i kroków niechaj Bóg wielki osądzi!...

ROZDZIAŁ XI.

Zaledwie królewicz Kazimierz do Wielkopolski przyciągnął, gdy go spotkały nieprzewidziane niebezpieczeństwa i troski. Nie zdołał wprowadzić Wincenty z Pomorzan opanować tak, jak zamyślał, Poznania. Pomimo licznych stronników, których w tem mieście liczył, wierni królowi poddani potrafili je ocalić przed buntownikami.

Zrzuciwszy raz z siebie obłudną larwę, uczuł Wincenty, że niema dla niego innej drogi, jeno w pomocy Krzyżaków.

Pośpieszył w mury Malborka, a zrzekając się myśli opanowania Wielkopolski na swoje imię, przerzekł ją poddać pod władzę mistrza krzyżackiego Ludera.

Stanęła niezwłocznie ugoda, poczem potężne wojsko Krzyżaków jak najtajemniej do Kujaw wtargnęło. Dytrych z Oldenburga, wielki marszałek, Otto z Luterberga, wielki komandor, i Oward, Anglik, stanęli na czele Niemców.

Tym nakazano, aby się we wszelkich działaniach z Szamotulskim znosili. Za przejściem Wisły przez połączone zastępy, rozszerzyła się trwoga klęsk srogich po wielkopolskich krainach. Ledwie nie upadł pod siłą Krzyżaków Brześć i Inowrocław, lecz Słupce, należące do biskupstwa poznańskiego, srodze i bez litości złupiono. Jęk uciśnionych od wrogów ziemian objął się o mury Poznania, niebezpieczeństwo z każdą chwilą wzrastało. Mimo próśb Anny i przełożeń Jaśka z Mielsztyna, poskoczył z garstką zebranego na przedce ludu ku Pyzdom królewicz, dla zasłonięcia zagrożonego kraju od obcego narodu. Spieszyli pod jego chorągwie Wielkopolanie, równie zagrzani wzorem syna króla swojego, jak nienawiścią ku Wincentemu z Pomorza, który przewodniczył Krzyżakom. Widząc nieprzyjacielem czujność młodego pana, powściągnęli się w swoich zapędach, dla zgromadzenia liczniejszych hufców i przedsięwzięcia stanowczych działań przeciw Po-

lakom. Dni kilka strawiono na bacznej uwadze wzajemnych z obu stron obrotów. Ale przydłuższy pobyt w tych miejscach o mało nie stał się zgubnym dla królewicza Kazimierza.

Wrzała w sercu młodego królewicza niepokonana żądza stoczenia walki w polu otwartem z głównym nieprzyjacielem polskiego imienia. Powściągali ten zapal doświadczeni w sztuce wojennej doradcy! Mimo ich zdania, pozostał Kazimierz w Pyzdrach, upatrując chwili sposobnej do walki. Tymczasem Krzyżacy i Wincenty z Szamotuł wysłali na zwiady pewną oddaną sobie niewiastę, imieniem Martę, i tak zręczne czynili obroty, że ścisnąwszy ze trzech stron zastępy polskie, mogli już liczyć na pewne zwycięstwo.

Nadchodzące ze wszech stron wieści wzmagaly trwogę dowódców polskich o bezpieczeństwo królewicza Kazimierza.

Jeszcze się królewicz z sobą pasował, jeszcze wśród bezsennej nocy ważył w swej głowie, czego się chwycić, gdy mu oznajmiono przybycie jakiejś niewiasty, która żądała niezwłocznej, a tajemnej rozmowy.

Wpuszczona Marta, ujrawszy królewicza, w cu-

downy iście sposób przejęta nagle uczuciem ocalenia mu życia, padła na kolana i rzekła:

— O, ty przyszła nadziejo ojczyzny! poznaj z tego zdarzenia, że litościwa opatrzność czuwa nad tobą. Oto z nieprzyjacielskiego obozu przychodzi ku ocaleniu waszemu kobieta, w chwili, która mogłaby losy Polski rozstrzygnąć. Nie wstydź się, panie, opuścić te miejsce w skrytości, bo występny buntownik i zawzięci na ród wasz Krzyżacy, otoczyli twą młodość dobrze ukrytymi siłdami. Jeśli tu dłużej zostaniesz, jutrzejszy ranek zgubę twoją ujrzy. Opuść bez zwłoki to miasto! Sąsiednie lasy dostarczą bezpiecznego schronienia, a droga, którą ci, panie, wskazałam, doprowadzi w całości do lasów.

Ujęty szczerością rady Kazimierz, chciał hojnie wynagrodzić kobietę za tak zbawienną przestrogę. — Wzgardziła ofiarowaniem jej złotem stara Marta, a na usilne nalegania królewicza, rzekła te słowa odchodząc:

— Są dary bogatsze od srebra i złota, któremi królowie mogą ujmować serca i zniewalać umysły, a za te racz, panie, uważać sprawiedliwość i przebaczenie. Tych się domagam w nagrodę, nie dla siebie, ale dla

jednego młodziana, którego los bardziej mię, niż własny obchodzi. Wykarmiłam go w niemowlęctwie, uczyłam od pieluch bogobojności i cnoty. Dotąd błogosławiły mu nieba. Lecz dziś wisi nad nim ogrom ojcowskiej winy i zdrady. Zygmunt z Szamotuł, nie dzieląc zbrodni rodzica, może jej skutki podzielić. Czuwajcie nad nim, szlachetny książę, bo wkrótce zniknie dla niego ostatnia pomoc, jakiej doznawał w tem życiu, i nikogo nie będzie na świecie, ktoby się zajął losem niešťczęśliwego a cnotliwego młodziana.

Za swym powrotem do krzyżackiego obozu tak zdała sprawę Wincentemu z Pomorzán ze swego poselstwa.

— Cieszcie się w duszy, panie wojewodo Wincenty, niebo sprzyja waszym zamiarom. Młody król-wicz spoczywa w Pyzdrach bezpiecznie. Dalej do dzieła! Jakaż radość powstanie w obozie cnotliwych a Bogu poświęconych Krzyżaków! Jaka sława uwieńczy wasz oręż, gdy pochwycicie żywcem tego, który was rządów i dostojenstw pozbawił. Jaki cios dotknie mściwego króla, nim zdąży na ratunek jedynemu swemu synowi! Uważcie tylko pilnie a dobrze! Wśród rynku wznosi się okazalsza od innych z drzewa nowe-

go budowa. Tam się z swym dworcem rozłożył królewicz. Pomijajcie wszystkich, których wam chwila rozruchu nastreczy, chwytajcie tylko młodzieńca wyższego wzrostem nad innych, okrytego szubą szkarłatną. Zdobycz wasza jest pewna. Lecz dla lepszego złudzenia bezpiecznych od obawy Polaków, wrócić wam natychmiast do Pyzdrów wypada. Znajdziecie Martę w chwili stanowczej i wtedy dopiero poznacie, jak wielką wam uczyniła przysługę.

Natychmiast wydał Szamotulski stosowne rozkazy.

Jeszcze noc głucha nie ściągnęła swych skrzydeł z nad uspionego miasta, gdy uniesiony chęcią pochwycenia syna króla swojego i pana Wincenty podsunął się w cichości pod spokojne Pyzdry. Wydano umówione hasło i w jednej chwili rozlały się po mieście hufce Krzyżaków. Powstały krzyki przebudzonych ze snu mieszkańców. Bez wielkiego operu opanowano dom, w którym miał przebywać królewicz. Pod samem mianem czekał na skutek swojej wyprawy Wincenty. Już dzień poczęło, gdy ujrzał prowadzonego ku sobie jeńca, którego postać i odzież odpowiadała zupełnie opi-

sowi danemu przez Martę. Radość występna ogarnęła serce wojewody.

— Przebaczenie nam, miłościwy książę — rzecze z szyderskim uśmiechem — żeśmy się poważyli przerwać wam sen błogi, któremu pośród wrzawy wojennej nie należy się bezpiecznie poruczać, tembardziej, gdy ciężar wielkorządów tych krain na barkach waszych spoczywa.

Nic na to nie odpowiedział jeniec. Jego zuchwała i nakazująca uszanowanie postawa oburzyła otaczających Szamotulskiego Krzyżaków.

— Zedrzyć mu z głowy przyłbicę! — wołać zaczęli niektórzy — abyśmy się lepiej przyjrzeć zdołali synowi potężnego monarchy, który tak pragnął gorąco zetrzeć się z nami w polu otwartem.

Jakież było zdziwienie, jaki wstyd Szamotulskiego, gdy po zdjęciu przyłbicy z więźnia, zamiast młodego Kazimierza, ujrzano Marty oblicze i jej tryumfujące oczy z dopełnionego bohaterskiego czynu.

— Co widzisz? — krzyknie Wincenty — o, niegodziwa niewiasto, przypłacisz drogo tę zdradę!

— Zatrzymaj dla siebie — odrzeknie Marta — obelżywe nazwisko, boś ty niegodzien imienia Polaka,

tyś jest zdrajca króla swojego i pana. Przywódco rozpasanej na zbrodnie niemieckiej hołoty, a sprawco nieszczęść własnej ojczyzny, którąś powinien był bronić kosztem krwi własnej i gasnącego żywota, naucz się przez czyn mój, że jest Bóg na Niebie, który swoim potężnem ramieniem zasłania powołane do władzy ludów książęta!

— Rozsiekać natychmiast tę czarownicę! — zawołał dowódca Niemiec—zamęczyć ją w obliczu wojska!

— Gotowam jest na śmierć! — odrzekła wieśniaczka spokojnie — dobrzem i wcześniej wiedziała, że ta mię minąć nie może. Domierzcie waszej zemsty, niegodziwi napastnicy naszego kraju! Już moje dzieło spełnione!

Gdy się pastwiono nad nieszczęśliwą Martą, królewicz Kazimierz, uszedłszy widocznej zguby, zgromadzał w przyległych lasach lud swój rozpierzchły i lepszą radą wiedziony, pociągnął śpiesznie ku nadchodzącym posiłkom.

ROZDZIAŁ XII.

Omyleni w powziętej nadziei Krzyżacy, wywarli okrutną zemstę nad zdobytemi Pyzdrami, a posuwając za przewodnictwem Szamotulskiego zwycięski oręż po obu brzegach Warty, srogie klęski na cały kraj ścignęli.

Za nadejściem świeżych z Prus posiłków i hufców niemieckich przybyłych z nad Renu, opuścili Kujawy, zwracając się ku murom Łęczycy. Upadło wkrótce pod ich przemocą to miasto, zamek zaś, dzielnie od załogi broniony, ocalał. Innego losu doświadczył Kalisz. Twierdza zdobyta; samo zaś miasto, po kilkodniowych a bezskutecznych szturmach, odparło z wielką klęską wszelkie usiłowania Krzyżaków. Zajęte następnie Gnie-

zno i Nakło, Znin, Środa, Pobiedziska i Kostrzyn złupione i zniszczone do szczętu. Nie przepuszczono w Gnieźnie katedralnej świątyni. Nadzieja bogatych skarbów przy ciele świętego Wojciecha pobudziła do kuszenia się o zdobycie zwłok sławnych cudami i czcią całego narodu. Wszystkie atoli usiłowania bezbożnych spełzły przed stałością strzegących tych relikwi kapłanów. Na próżno wysilano się na podstęp i męki, nie zdołano odkryć ani zwłok męczennika, ani złożonych bogactw przy jego grobie.

Srogie zniszczenie nakszałt ognistej lawy rozlało się ku murom Sieradza. Wzdryga się pióro na wzmiankę nieszczęść, jakie to miasto spotkały. Powtórne usiłowanie zdobycia Kalisza podobnego pierwszemu skutku doznało. Lepiej się powiodło niszczycielom Polski w Koninie. Strwożeni grożącym niebezpieczeństwem Wielkopolanie ukopali wał siedm mil długi od Zwalny i Zaniemyśla, aż do Głuszyny, a napuściwszy wody w rowy z przyległych rzek i jezior, mniemali się bezpieczniejszymi za ich warownią. Uwiadomiony nieprzyjaciel wysłał w to miejsce kilka tysięcy jazdy, gdzie okoliczni ziemianie przytaili wszystkie swoje dostatki. Pewność hojnego łupu wzmagala męstwo Krzyżaków. —

Z wielką trudnością dostali się za wysypane okopy, do których wąskie groble i ścieżki doprowadzić mogły jedynie. Stoczona walka zacięta wypadła na korzyść Polaków. Klęskę Krzyżaków odniesioną w tych miejscach poświadczają do późnych czasów bielące się na pobojowiskach kości.

Wieść o zbliżającym się królu Władysławie z nie szczupłym wojskiem na pomoc trapionym ziemiom do wytrwania w męstwie zagrzała.

Gdy królewicz Kazimierz uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa w Pyzdrach, skłoniono go do uchylenia od ciosów wojny okropnej znajdującej się w Poznaniu małżonki. Zaledwie można było zniewolić przywiązaną serdecznie do młodego księcia Aldonę, aby się najbliższą drogą do Krakowa udała. Chciała ona podzielać trudy i przygody Kazimierza, któremu gorąca żądza walczenia za sprawę kraju pozostać kazała.

— Czegoż to po nas żądacie? — rzekła do Jaśka z Mielsztyna. — Myślicież wy zaprawdę, że córka Giedymina lęka się szczęku oręża i że znojów wojennych nie zniesie? Obok uwielbionego małżonka wszelkie niebezpieczeństwa za nic ważyć potrafię. Któż lepiej

od nas czuwać zdoła nad drogim jego życiem? kto przynieść ulgę w smutnych przygodach i troskach?

Lecz próżne były jej szlachetne żądania; musiała uleść niezbędnej a naglącej potrzebie. W bliskości zniszczonego przez Krzyżaków Sieradza złączył się król Władysław z synem.

Przerażający obraz zniszczenia kraju rozdzierał serce tkliwego na nędzę poddanych monarchy. Pocieszał się nieco widokiem syna, którego ręka Opatrzności ocaliła od zguby. Długo on leżał w ojcowskich objęciach.

— O, nieszczęśliwy nasz następco! — zawołał z głębi duszy Władysław — tuszyliśmy sobie na starość, że po tylu trudach i walkach, zostawimy ci spokojne i kwitnące królestwo. Inaczej podobało się Bogu, który odwraca od nas przy schyłku życia swoje wszechmocne oblicze. Ale ufajmy jeszcze w jego miłosierdziu a łasce. Ty zaś o, synu, wśród przeciwności i znojów, nawykaj do trudnego rządów brzemienia i ucz się wczesnie z naszego przykładu, ile masz ufać zapamiętałym na zgubę naszą Krzyżakom i temu niestatecznemu losowi, który raz się obraca ku ludziom z rozweselonem

od śmiechu obliczem, drugi raz, sprawiając dla siebie płochę igrzysko, pogrąża ich w przepaść niedoli.

Nadciągnęło w niedługim czasie na wsparcie króla krakowskie i sandomierskie rycerstwo pod władzą Prandoty z Ostrowa. Z radością oglądał Władysław dawnych swych towarzyszków oręża i w twarzach ich czytał poświęcenie się bez granic. Gdy w gronie znakomitszej młodzieży spostrzegł nareszcie udręczonego smutkiem Zygmunta, przyszedł mu na myśl występny jego ojciec, srogich klęsk Polski sprawca.

Zasepiło się natychmiast sędziwe czoło stroskanego monarchy.

Upadł królowi do nóg Zygmunt i ze łzami rzewnemi zawołał:

— Nie odwracajcie od nas, miłośnicy królu i panie, łaskawego dotychczas oblicza. Syn, potępiony zdradą ojcowską, nie przestał dla tego być synem najpięrszej z matek — ojczyzny. Znam to dobrze, jak wielka hańba ciąży w oczach cnotliwych nad nami. Ale nadejdzie ta chwila, w której krwią przeświadcę świat cały o wierności ku królowi i panu mojemu!

Nic nie odrzekł zrazu Władysław. Lecz po nie-

jakiej chwili milczenia, zdjęty litością nad stanem okropnym młodzieńca, temi słowy przemówił:

— Bodajby Bóg Wszechmogący, a Wielki ulitował się z czasem nad nieszczęśliwą ojczyzną równie jak i nad tobą!

Młody królewicz, pamiętny poświęcenia się i ostatnich prośb Marty, pocieszał wedle możności Zygmunta i do serca swojego go przytulił.

Za obrachowaniem wszystkiego wojska zgromadzonego w bliskości Łęczycy, wzmożyły się troski i niepokojności Łokietka, gdyż liczba jego wojskowa ledwie się połowie sił nieprzyjacielskich równała. Dla tego nie mogąc stawić czoła Krzyżakom, poprzestać musiał na podjazdowem i dorywczem działaniu.

Udawał Dytrych z Oldenburga nieufność i trwogę, żeby Polaków w sposobniejsze miejsca do walki otwartej wywabić. W tym celu począł odwrót zmyślony.

Ruszył tuż za nim Władysław, a wkrótce Polacy błąd swój poznali. — Po dwudniowym i bezskutecznem ściganiu, rozłożyły się hufce królewskie w bliskości Konina. Pomimo bacznej czujności wyćwiczonego w podobnych bojach Łokietka zaniechano zwykłej ostrożności. Spoczywali bez troski dowódcy, żołnierze

ustawicznemi trudami znękany, usnął spokojnie. Tymczasem knujący od dawna podstęp wojenny Krzyżacy tak cicho podsunęli się pod obóz polski wśród nocy, że ich dopiero ujrzano, gdy trwoga powszechna o niebezpieczeństwie przestrzegła. — Pierwszym rycerzem, który stanął z orężem w rękę do boju i którego głos silny wzywać począł do sprawienia szyków, był sam król Władysław. Wytoczyła się walka obfita w czyny dzielności i męstwa, którą nocne cienie okryły. Zygmunt z Szamotuł szukał raczej śmierci, niżeli wygranej. Dość długo trwał bój wątpliwy. — Za pierwszym świtaniem, spostrzegłszy Władysław jawną przewagę sił krzyżackich, dał hasło do śpiesznego odwrotu. Zostawili Polacy na łup zwycięzców tabory i wozy. O milę od Konina zebrał i sprawił Władysław swe wojsko, poczem powziął myśl nową: przez nagły pochód ku Radziejowu zagrozić drogę nadchodzącym dla Krzyżaków posiłkom. Zasłonięty wodami i jeziorami, które się łączą z Gopłem, w dniu trzecim mozolnej drogi, zbliżył się ku swemu celowi. Poczuli ważność tego zamiaru Krzyżacy. Zachwyciwszy co można było ze zdobytego obozu, udali się krótszą drogą w tę samą, co i Polacy miejsca, którzy tym sposobem zaledwie

dzień jeden zyskali. Już się zjawiały pierwsze ich hufce przed okiem baczem sędziwego wodza i króla, już przewidywał nagłość i bliskość stanowczej potrzeby, ale przewaga siły nieprzyjacielskiej, karność i uzbrojenie dokładne Krzyżaków odejmowały tym samym wszelką nadzieję zwycięstwa.

Noc była i zgromadzeni na radę walną polscy wodzowie rozeszli się na koniec. Sam tylko młody król — wicz został w namiocie ojcowskim. — Pierwszy raz w życiu widział Władysław niepodobieństwo uchwylenia skutecznych środków ku ratunkowi ojczyzny; pierwszy raz w życiu uczuł się bliskim rozpaczy.

— O, Szamotulski! Szamotulski! — powtarzał często — w jakąż przepaść pogrążyłeś własną ojczyznę. Trzebażli nam, postawionym nad grobem, w jednej chwili postradać tylu lat trudów i znojów owoce?

Dosłyszał imię ojca swojego Zygmunt, który właśnie na ten czas czuwał przy namiocie królewskim. Myśl uadzwyczajna i śmiała lotem błyskawicy przez jego głowę przebiegła.

Pominąwszy wszelkie względy na przyzwoitość, wchodzi do namiotu stroskanego monarchy, a znowu

rzucając się do nóg królewskich, w ten sposób mówić poczyną:

— Miłościwy królu i panie! doszło do uszu moich to imię ohydne, którem się brzydzą wszyscy cnotliwi Polacy. Ale człowiek, ścigany przekleństwem ziomków i pana własnego, jest ojcem tego nieszczęsnego, którego u swych kolan widzicie. I on był niegdyś prawym Polakiem. — Jakkolwiek ciężar ohydy i zbrodni przyciska duszę moją bez winy, nie upadła w niej jeszcze ostatnia nadzieja, a jeśli promyk niebieski tej pocieszycielki ludzkości, oka mojego nie ludzi, to jeszcze Bóg dobry pozwoli przekazać nienawistne dziś imię, w odzyskanej czystości potomkom. Dozwólcież mi, miłościwy panie i królu, jednej już łaski, jednego i ostatniego względu, a pewna zguba ojczystej sprawy może się dla niej zmienić w zbawienie.

— O, nieszczęśliwy młodzieńcze! — rzeczy na to Władysław — pojmuję snadno tę boleść, która przygnębia twoje serce. Ale w czymże widzisz tak błogą dla Polski otuchę? Zbliża się chwila stanowczej walki z nieprzyjacielem naszego imienia i bytu. Konieczne jest dla nas zwycięstwo. Ale większa, prawie w trójnasób siła wróży nam klęskę nie mylną. O, gdyby nie

twój ojciec Wincenty, gdyby nie ta przewaga, którą przeciw swym ziomkom nadaje Kżyżakom, jeszcze ufa-libyśmy w naszym ramieniu i sile, jeszcze to starożytnie Piastów dziedzictwo przeszłoby może w całej świetności pod krzepsze od naszego berło jedynego potomka.

— Dozwól mi, miłościwy królu — odrzeknie Zygmunt — dozwól tylko chwil kilka, a to, co stanowi istotną nieprzyjaciela przewagę, przywróci może hufcom ojczystym dostatnią siłę do świetnego zwycięstwa. Racz tylko wyrzec najpiękniejsze z ust władcy słowo: „przebaczam!“ a ujrzysz wkrótce u nóg swych tego, którego tak sprawiedliwie w tej chwili przekleństwem obarczasz.

— Młody człowieku — odpowiedział Władysław — zanadto sobie ufasz. Nie jest dalekim od nas to przebaczenie, którego tylekroć w życiu udzielaliśmy w różnych kolejach. Ale wasz ojciec trwa mocno przy swoim. Choćbyśmy się do waszej prośby skłonili, któż mu to przebaczenie w obóz krzyżacki zanieśnie?

— Syn własny, a syn jedyny, którego dawno nie widział! — zawołał Zygmunt — syn, który jest gotów

na wszystko, dla zatarcia ohydnej hańby rodu swojego i odwrócenia ciosów grożących ojczyźnie!

— Nie, Zygmuncie! — odrzekł Władysław — zbyt wielkiej po nas żądasz ofiary. — Ten dumny człowiek mniemałby pewnie, że nas swym buntem i zdradą do kroku tego przymusił. — Król Polski może zginąć z swym ludem, ale poniżyć się nie będzie.

— O, miłościwy królu i panie! — przemówił Zygmunt — pomnijcie w tak ważnej chwili na dobro lubej ojczyzny, dla której w swem długiem panowaniu i życiu żadnej nie szczędziliście ofiary; pomnijcie na swego syna, któremu powinniście zostawić w całości spadające po przodkach dziedzictwo; pomnijcie wreszcie na ten lud wierny, którego krew droga i czysta, zostanie w niepewnej walce marnie przelaną! Kiedyz to przebaczenie poniżyło monarchę! Ach! jeśli nas czyste serce nie zwodzi, ten jeden święty przywilej berła władców do bóstwa przybliża. — Biada tym królom, którzy go użyć nie chcą!

— Młody człowieku! — rzecze wzruszony Władysław — odniosłeś nad osiwiiałym w trudach starcem zupełne, a chlubne zwycięztwo. Tak jest: przebaczam!

— O, słodki i pożądaný wyrazie dla udręczonej duszy! — zawołał Zygmunt — o, dniu radosny, którego dożyć nie miałem nadziei! Jeszcze noc głucha trzyma świat cały w uspieniu: przedrzeć się w obóz Krzyżaków, pośpieszyć do ojca, zanieść mu słodką przebaczenia otuchę, przeciągnąć go z występnej i hańbiącej przyjaźni na stronę prawego króla i pana, to jest, co zdziałać chcę natychmiast. Dawno już nieszczęśliwy mój ojciec nie widział przed swem obliczem prawego Polaka. Otoczony nieprzyjaciółmi ojczyzny, lub podłą zgrają najemnych siepaczy, gdy ujrzy syna i gdy z ust jego wszystko a wszystko usłyszy... O, miłościwy królu, bądź pewien świetnego skutku, bo serce moje pełne nadziei!...

Jeszcze chwil kilka rozmawiał z swym panem Zygmunt. Tajne zlecenia, które od monarchy odebrał, zostały na zawsze tajemnicą.

Jeszcze noc jesienna nie dopełniła biegu swojego połowy, gdy pałający żądzą śmiałego zamiaru młodzian pomijał polskich dowódców namioty i ocierał się o blizkie miasto Radziejów, przy którym Prandota z Ostrowa leżał obozem z krakowskiem i sandomierskiem ry-

cerstwem. — Właśnie podówczas syn jego Krystyn z rozkazu ojca rozstawione czaty przegładał.

— Tyżes to, Zygmuncie? — rzecze, poznawszy przyjaciela po głosie.

— Co tu porabiasz i dokąd dążysz w tej chwili? Jakżeś śmiał namiot monarchy opuścić, przy którym noc tę miałes z kolei przepędzić?

Odeszli oba na stronę i krótko z sobą mówili.

Ścisnęło się serce szlachetnego Krystyna na obraz niebezpieczeństw, które mogły spotkać Zygmunta.

— Sam-li masz śpieszyć, — rzecze nakoniec — na przygód mnóstwo, na grożące ci ciosy? Wzgardziłeś współnictwem tego, którego przychylnosć znana ci jest od dawna? Także to mało ufności wzbudza w twem sercu Krystyn, że nawet przedsięwzięcie twoje byłoby tajemnicą dla niego, bez trafu niespodzianego spotkania?

— Płonne są twoje wyrzuty, Krystynie! — odrzekł mu Zygmunt. — Sprawa, która mię zajmuje, mnie tylko jednego dotyka. Dla siebie jedynie wyjednalem zezwolenie królewskie. Twe miejsce jest pomiędzy hufcami, które walczyć mają za całość świętej ojczyzny, twój cel jedyny — przyłożyć się dzielnością do świe-

tnego zwycięstwa. Inne jest położenie moje. Obumarły w tem sercu wszystkie uczucia prócz chęci zmazania winy i zdrady.

Zaledwie dał się przekonać Krystyn. Stał długo nieporuszony na miejscu, rachując bacznie wszystkie kroki Zygmunta. Gdy już ich odgłos zniknął w przestrzeni, wrócił do cja, który troskliwie czekał na jego przybycie i na dokładne wieści o stanie poruczonego mu stanowiska równie jak i o nieprzyjacielskich obrotach.

ROZDZIAŁ XIII.

Dopiął Wincenty z Pomorzan celu występnych swoich zamiarów. Ale ta świetność pozorna, ale te po-
chlebne i łudzące swym blaskiem widoki, słowem
wszystko topniało, gdy zostawiony sobie samemu, po-
myślał, czem był przed niedawnemi czasy, a czem jest
teraz, gdy się wyprzysiągł wierności i cnoty. Włos na-
jeżony na głowie, rozczochrana broda, wklęsłe policzki,
usta spieczone wewnętrzną gorączką, krwią zasłże oczy,
wydawały poniewolnie te męki, które trop w trop za
zbrodnią nadchodzą. — Już noc posepna ciążyła nad
ziemią od wielu godzin, a sen, pochopny dla innych, nie
zbliżał się do jego powiek, a krwawy obraz klęsk na
rodzinną ziemię ściągniętych zawsze przed jego oczy

powracał. Tliło się w kącie namiotu blade lampy światelko, łoże od dawna usłane, stało dotychczas w nietknięciu. Otrętwiałość po wszystkich członkach rozlana znie- niła Wincentego w posąg bez życia do miejsca przyku- ty. Z tęsknotą, równającą się najdalegliwszym dręcze- niom; często zataczał palające swe oczy, ku tym szcze- linom, przez które spodziewał się dojrzeć pierwszego brzasku dnia. Z nagle usłyszał blizkie czyjeś stąpanie. Chciał się podnieść z siedzenia, nie zdolał. W tej chwi- li wchodzi na palcach jeden z jego służebnych i w naj- większej cichości wprowadza do namiotu urodzivego młodziana.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał Wincenty i tej- że chwili ujrzał przy swych kolanach Zygmunta.

— Myleż się? — rzeknie natychmiast wlepiając oczy w synowskie oblicze — tyżeś to, niewidziany od tak dawnego czasu Zygmuncie? Jakież bóstwo zsyła cię do nas w tak ważnej chwili? Zkądże przybywasz? Jakąż pociechę stroskanemu ojcu przynosisz? jakie są twe zamiary i cele?

Milczał dość długo wzruszony do głębi duszy okro- pnym stanem ojca swojego młodzieniec; jęk przerywa- ny od łkania dobywał się tylko niekiedy z rozdartego

żałością serca, cichość ponura odpowiadała jego boleśnym uczuciom.

— W jakichże czasach i miejscach — przemówił nareszcie — przychodzi mi widzieć cię, o, ojcze! Jakże się wszystko zmieniło od tej pamiętnej chwili, gdy żegnając odjeżdżającego do stolicy syna, udzielaliście mu zbawiennych przestróg, karmiliście serce jego słodkich nadziei obrazem, które, niestety, poszły na wiatrów igrzysko! Gdzież was to szukać przymuszony jest Zyr-munt? Oto pośród nieprzyjacielskich obozów, w których przygotowane gromy mają wkrótce uderzyć okropną śmiercią w naszą ojczyznę! Przez jakież straszne i bolesne widoki przedzierać się musiałem do tego, który ziomeków własnych staje się zagładą? Gdzieś tylko stał, snuły się przed oczyma mojemu braci, a noga wszędzie po drodze o gruzy i zgłiszczę trącała.

— O, ty! — zawołał starzec — którego uścisk jeden przed zgonem był najgorętszych mych życzeń przedmiotem, ty, dla którego tyle lat pracowałem i żyłem, synu mój drogi, jedyna pociecho wśród okropnej dla mnie świata pustyni, mógłś się tego spodziewać po tobie? Także cię to wykształciła w swej szkole

surcwa cnota, że śmiesz nakoniec ojcu własnemu złorzeczy? Lecz oszczędź twym ustom płonnych wyrzutów, zajrzyj raczej w samą głębię serca mojego, zbadaj walczące z sobą uczucia, a znajdziesz snadną odpowiedź na tajemniczą zagadkę. Stało się to, czegoś nigdy nie powinien być dożyć. Trudno się z wnętrza przepaści wycofać. Zgotowano nam kielich, tysiącem ponęt zaprawnej trucizny. Spełnić go trzeba aż do dna. Jeszcze dzień jeden lub drugi a wszystko stanie u kresu.

— O, nie przerażaj mnie, ojcze! — odrzekł mu Zygmunt — obrazem tak srogiej, a tak już blizkiej przyszłości, gdy to co dotąd wzrok mój uderza, męką piekielną wyrówna. Stało się wiele rzeczy niezgodnych z powinnością i cnotą. Lecz Bóg ojców naszych dozwala jeszcze żywota, jeszcze stoi przy boku samej nawet zbrodni pocieszająca nadzieja. Nie godzi się cofać z drogi przez obowiązek wskazanej. Lecz kto sam poznał tę otchłań, w którą się dobrowolnie zapędził? Zbłąkać się na stromych ścieżkach żywota jest aż nadto częstym ułomnych stworzeń udziałem; wrócić na łono cnoty jest dziełem wyższej, a nadludzkiej odwagi. Ten właśnie zamiar, ta myśl ponętna kazała mi zbliżyć się do twego serca, mój ojcze, chociaż zerwany został ten

święty węzeł, który je z mojem jednoczył. Obacz się, nieszczęśliwy, a ręką szatańską popchnięty do zbrodni, ojcie! Jeszcze nie przeszła chwila sposobna ku temu, a drżij wraz ze mną, aby ta wkrótce nie przeminęła na wieki.

— Zanadto dufasz jak widzę twojej młodości i cnocie—odpowiedział Wincenty z Pomorza—a wzrok twój bystry dosięga tylko umajonych zieloną barwą wzgórków, pomijając w swym locie zaczajone pod niebem przepaście. To, co ci chęć dobra podsuwa, ziścić się nigdy nie może. Stałość czy w złym, czy w dobrym, powinna być wieku dojrzałego dziedzictwem. Zaprzysiągłem wieczną nienawić tym, którzy się na sławę mają targnęli. Któż temu winien, że ich prześladowcze ciosy prosto do mego serca zmierzały? Rozdrażnili je srodze wtedy, gdy jeszcze tękało całą pierwotną czystością. Pchnęli mię sami, na przeciwie sobie rozdroża. Niech więc zbierają gorzkie swych nasion owoce. Nie ja to pierwszy wydałem podobne srogię do nieśnak domowych hasło. Lecz, gdy już raz dźwiękiem okropnym w przestrzeni świata zabrzmiało, gdy miecz, który dotąd gnuśnie w pochwach spoczywał, przed okiem mojem zabłysnął, niech się to spełni, co losom

moim wyższe przeznaczyły wyroki. Niech król ten, niebaczny i ulegający radom przewrotnych, pozna nakoniec jakiego sługę i przyjaciela utracił, gdy się dowie przez klęski, jakiego wroga i prześladowcę pozyskał. Jeszcze jedna stanowcza walka, a wszystko stanie u kresu. Jeśli złej sprawie służymy, jeśli występne są nasze zamiary, oddajmy to na sąd Tego, w którego mocy jest wszystko.

— Do jakiejże ostateczności — odrzeknie Zygmunt — chcesz mnie dziś przywieść o, ojczyzno? Nim Bóg zastępów rozstrzygnie między złą sprawą a dobrą, wprzód krwi bratniej potoki zalać muszą srogą powodzią tę ziemię, wprzód tysiące serc oddychających najczystszą cnotą, oręż przeszyje. Gdyby nam przyszło taką ceną dobijać się zwycięstwa, jakżebyśmy potem nad pozyskanem plakali? Patrz, nielitosny sprawco klęsk już spełnionych i przyszłych drogiej naszej ojczyzny! gdy cię duma i zemsta do podniesienia broni na króla własnego ośmiela, są w przeciwnych rotach tacy, na których wznosząc synobóję prawicę, wzdrygnąć się wprzód musisz. Lecz ten, którego jeszcze imieniem syna zowiecie, nie wyrzeczy się dla waszych celów przyrodzonej mu wierności i cnoty. Chcecieżli

wszystkie już związki najświętsze pomiędzy ludźmi pcartargać? Jeślicie zaprzysięgli okropną wierność nieprzyjaciółem ojczyzny, my ją ślubowaliśmy wraz z pierwszym tchnieniem niemowlęcego żywota ojczyźnie i cnotcie. Mamże wam wszystko wyjawić? Przysięgam w tej oto chwili, przed Bogiem, który nas słucha i sądzić będzie, że choćby nam los bitwny i tego nadarzył, którego dotąd zwaliśmy...

— Stój! nie domawiaj, Zygmuncie! — przerwał mu ze zgrozą Wincenty. — Nie czekaj blizkiej już walki; masz oto tego przed sobą, który ją musi wytoczyć lub zginać. Ugodź przeto w me serce, nim się nieodłączne od bojów klęski wysnują; ugodź w tej chwili, gdy nas nikt z ludzi nie widzi, niechaj noc ciemna zbrodnię ojcobójstwa pokryje. Uchodź potem bezpiecznie do tych obozów, w których me imię przeklinają Polacy. Powiedzą ludzie, że Wincenty z Pomorzan śmierć sobie zadał z rozpacz, nikt nie docieknie zapewne, że mię zgon spotkał z twej ręki, a chlubna może nagroda uwieńczy twą stałość i męstwo!

— Zaprzestań dla Boga, ojczu! — rzecze mu głosem przytłumionym od żalu Zygmunt — zaprzestań kalczyć to serce, które tak wiele ciosów śmiertelnych

pomieścić nawet nie zdoła. Nadaremnie, jak widzę, tworzymy oba czas drogi. Każdy z nas zostać musi przy swoim. Ach, gdy już nie masz nad synem litości, miej ją nad sobą, miej ją nad własnym i przodków twych honorem! Od pierwszego Nałęczu, któremu na placu boju własny monarcha chlubną ranę zawiązał; od męża, którego znaki zaszczytne przeszły w nietkniętym spadku na długi szereg potomków, żaden z nich nie skaził swej sławy ohydne przemieszczeniem i zdrajcy imieniem. Jakież to smutne dziedzictwo chcesz przekazać o, ojczu, jednemu synowi!? Wywołany wyrokiem króla z ojczyzny, napiętnowany od wszystkich okropnym zdrajcy imieniem; nie lękasz-li się nakoniec, ażeby cienie szanownych przodków, nie odepchnęły cię w innym żywocie, z tego chlubnego koła, które po zgonie w liczbie cnotliwych zajmują? Odbiegają może wśród boju szukane ciosy od tego, co nie jest godzien przez ciebie, ażeby poległ chwalebnie za świętą sprawę ojczyzny; śmierć pożądana oszczędzi zapewne to życie, które na odkupienie spadającego wstydu dziedzictwem, wlec będzie długo w poniżeniu i wzgardzie. Lękajmy się obadwa surowej potomności wyroku; płaczmy raczej przed czasem nad tą ohydą, na jaką wiecz-

nie będziemy skazani. O, drogi ojciec, po raz ostatni ściskam twoje kolana, po raz ostatni wołam do ciebie głosem rozpacz i konającej nadziei: wstrzymaj się nad srogą przepaścią, póki się nie zanurzysz w jej głębi!

— Gdybyśmy tak daleko nie byli zabrnęli — rzecze Wincenty, podnosząc z ziemi Zygmunta — gdyby nieprzyjaciele nasi byli mniej zawzięci i srodzy, gdyby ten król zapamiętał na własne dobro i nasze, zostawił jeszcze najmniejszą ścieżkę do wyjścia bez hańby z zawikłanych stosunków, gdybym cię rychlej był ujrzał, jedyna życia mego pociecho, możeby jeszcze przyświecał ostatni promyk zpełzłej na zawsze nadziei.

— Nie znasz-li jeszcze — odrzekł mu Zygmunt — tego wspaniałego, a szlachetnego serca, którem nieba obdarzyły króla naszego i pana? Nie ma w niem miejsca zemsta niegodna monarchów, a litość i przebaczenie wraz nad inne uczucia górują. Pocóż wam prawdę zatajać? Z jego rozkazów i woli przyszedłem do was tajemnie. Powrót do dawnych dostojnictw i blasków, przebaczenie w całej rozległości tego wyrazu, o to jest, co wam ofiaruje przezemnie, bylebyście tylko z całym swym ludem na łono jego wrócili. Tajno wam może,

że siły nasze, nie dochodzą nawet połowy nieprzyjacielskich zastępów. Nieodzowną jest walka, ale jej skutek wątpliwy. Lecz jeśli z swym ludem opuścicie krzyżackie sztandary, w Bogu nadzieja, że im bronią naszą sprostamy. Inaczej oczywista jest zguba ojczyzny. Niech ta otwartość i szczerłość, z którą wam wszystko wyjawiam, wesprze me chlubne zamiary. Będziecieżli jeszcze się wahać w zamianie imienia zdrajcy na piękne zbawcy ojczyzny nazwisko? Wzbronicież się dłuższym oporem wrócić to synowi i sobie, co nam zbrodnia ołjęła? Nie odpychajcie od siebie tej sposobności jedynej, lecz niepowrotnej. Nie gardźcie łaską królewską i łzami syna, który w Bogu i dobrej sprawie zaufa!

— Gdzież są rękojmie — zawołał wzruszony Wincenty — gdzie pewność tego przebaczenia, któremu płocho zaufać nie można?

— W cnocie i wspaniałości monarchy — odpowiedział Zygmunt — w czei naszej i życiu, w szlachetności królewicza Kazimierza, który piękną wróżbą nieporównanych zdolności, pokrzepia nachylonego do grobu ojca i zapowiada świetną przyszłość dla utrapionej w tej chwili ojczyzny.

Kilka chwil jeszcze trwała rozmowa Zygmunta z ojcem, a dzień następny ujrzał go w polskim obozie. Zapowiedziana stanowcza bitwa, pomimo gotowości stron obu, odwleczoną została z podziwieniem doświadczonych w sztuce wojennej rycerzy.

Błoga otucha wstąpiła w serce Władysława Łokietka. Za przyjściem nocy udał się samotrzeć i potajemnie sędziwy król ku miejscom, które od dwóch dni przednie czaty wojsk polskich zajęły. Licha lepianka przyjęła go w swych ścianach razem z towarzyszami, których wezwał do boku.

Zaledwie upłynęła godzina, gdy trzech jeźdźców zbliżających się z strony przeciwnej w to miejsce przybyło. Jeden z nich, sędziwszy wiekiem, zapytał o króla.

Zastał go siedzącego samotnie na ławie, dwaj towarzysze oddalili się pierwszej do przyległej izdebki. Zbliżył się mąż sędziwy krokiem niepewnym, udając jakoby chciał ująć jego kolana.

Nie dopuścił Władysław i rzekł pierwszy głosem łagodnej powagi:

— Witamy was, wojewodo poznański! Dawnośmy wyglądali tej chwili, w której niebo spełnia наконец

gorące serca naszego pragnienia. Tuszymy sobie, że poczuwszy raz swe winy przeciw majestatowi naszemu, zechcecie odtąd ślady jej szczerym żalem zagładzić.

— Wieleby na to można odrzec, miłościwy panie — przemówił z upokorzeniem Wincenty. — Ale niech Bóg tych osądzi i skarże, którzy stanąwszy na krzywej drodze, między tronem a nami, potrafili odwrócić serce waszej miłości od sług gorliwych majestatu i kraju.

— Niechaj to wszystko pójdzie w niepamięć na wieki, — rzecze Władysław — a gdy już litościwa Opatrzność powraca na łono ojczyzny zbłąkanych synów, myślmY raczej obadwa, jakim sposobem odwrócić i zmieszać knowania zawziętych nieprzyjaciół Polski ku naszej zgubie dążących. Otwórzcie nam serce wasze i myśli, a wszystko od was wdzięcznie przyjmiemy. Jakaż jest istotna potęga Krzyżaków, jakie są zamiary i cele, jakie środki dla ich dopięcia?

— To wojsko — odpowiedział Wincenty — na które, miłościwy panie, słuszną baczność zwracacie, liczy wprawdzie czterdzieści tysięcy żołnierza, lecz większa część składa się z nieczemnej hałastry. Znany wam dobrze Dytrych z Oldenburga, wielki marszałek, jest

wodzem najwyższym i w nim to główna siła przewagi Krzyżaków spoczywa. Złamanie przedniejszych i lepiej uzbrojonych szyków pociągnie za sobą nieład i sromotną rozsypkę. Dostawszy oni pewnego języka o waszych siłach, postanowili równo z jutrzejszym porankiem oddział z pięciu tysięcy jazdy dla kuszenia się o zdobycie Brześcia wyprawić. pewni, iż resztą swej siły mogą Polaków na wodzy utrzymać. Udawać należy, miłościwy panie, niepewność i trwogę, aby ich w zuchwalstwie utwierdzić, cofnąć się nawet z tego stanowiska wypada. Po jutrze możecie śmiało uderzyć, a jeżeli wasza miłość zezwolić raczysz, abym mający odłącznie działać z mym ludem z tyłu i niespodzianie na Niemców uderzył, wtedy stanowcza klęska Krzyżaków losy boju rozstrzygnie i zapewni nazawsze tryumf polskiego oręża.

— Przyzwalamy chętnie na wszystko — rzekł na to z radością Władysław — i wszystko według rady waszej spełnimy, a jeśli dotrzymacie danego nam słowa, nie tylko uznamy w osobie waszej miłego syna ojczyzny, lecz nadto dawną cześć i łaskę wrócimy.

Zwalczony wspaniałością króla Wincenty, stał przez

dlugi czas jak wryty, aż przystąpił zwolna ku niemu,
ugiął swą siwą głowę, padł na kolana i pocałował
podaną sobie rękę królewską na znak przebaczenia
i zgody.

ROZDZIAŁ XIV.

Zbliżył się dzień dwudziesty siódmy września 1331 roku, dzień niezapomniany dla Polski, dzień zwycięstwa pod Płowcami. Poprzedziła go z obu stron ponura cisza. W jej łonie wrzała tajemnie gwałtowna burza, śmiercią i gromami brzemienna. Jeszcze chwil kilka, a nieprzejrzane równiny w krwi się gorącej potokach zanurzą.

— Cofnął się nieco z swem wojskiem Władysław. Miasto Radziejów czaty krzyżackie zajęły. Droga ku Prusom otwarta i skupienie się polskich zastępów mniemać kazały, że król, nieufny swym siłom, nie o natarciu, lecz myśli o swej całości.

Ruszył natychmiast oddział Ottona, wielkiego ko-

mandora ku Brześciu dla opanowania z nienacka tej twierdzy, gdy główne wojsko Krzyżaków jeszcze przeszło trzydzieści tysięcy ludzi liczyło.

— Nie śmie nam kroku dotrzymać Łokietek — rzekł do swoich Dytrych z Oldenburga, wódz naczelny Krzyżaków—i widocznie walki stanowczej unika. Lecz skoro Brześcia dobędziemy, sami go szukać zaczniemy.

Tymczasem posuwały się wolno i spokojnie za polskiem wojskiem, objuczone łupami i zdobyczą Krzyżaków zastępy. Walki pomniejsze z przednimi czaty toczone noc nadchodząca przerwała.

Dwa blizkie siebie obozy rozdzielały błonia i niezmiernie płaszczyny. Niewielka wioska Płowce w środku równiny leżała. Wstęp do niej Polacy, a wyjście osadzili krzyżowi rycerze. Ci ufni w liczbę i uzbrojeniu, tamci w odwadze, czekali z niecierpliwością następnego poranku, hasła wzajemne w obu językach rozlegały się noc całą.

Władysław Łokietek, rozpoznawszy poprzednio obszerne równiny, na których mógł z niemałą korzyścią lekką swą jazdę rozwijać, ufając mocno w Boga i dobrej sprawie, postanowił wszystko do walnej bitwy przygotować w cichości

O samej północy zeszli się do namiotu królewskiego przedniejsi polscy wodzowie dla odebrania ostatecznych rozkazów. Stał na ich czele sędziwy Prandota z Ostrowa, kasztelan krakowski, który ten rok ostatni życia swojego na trudach wojny i gorliwym wspieraniu usiłowań królewskich z chlubą i zaszczytem przepędził.

Spytek z Mielsztyna, wstrzymany wielkorzadami stolicy, nie mógł podzielać niebezpieczeństw i sławy przyjaciela swojego i pana. Ale syn jego Jaśko, nieodstępny towarzysz królewicza Kazimierza, już wtedy trzymał znakomitego hufca dowództwo.

Jakób z Szumska, kasztelan żarnowski, mąż wielce biegły w sztuce wojennej, lewem skrzydłem kierował. Jego uwagi i rady były w wysokiej cenie dla króla.

Z pomiędzy młodszych dowódców szczególniejszą bacność zwracali na siebie Żegota z Morawicy i mężny Krystyn z Ostrowa, ten sandomierski, tamten krakowski chorąży.

Królewicz Kazimierz przysłuchiwał się z bacnością rozporządzeniom ojcowskim, a rady wynurzone od do-

świadczących mężów w żywej zapisywał pamięci. Trwała narada przez dwie godziny.

Gdy się rozeszli wodzowie, król pogrążony w myślach i troskach, postrzegłszy czuwającego syna przy sobie, rzecze:

— Kazimierzu, na chwilę spocznij... bitwa nie rozpocznie się aż rano.

— Mógłbym użyć wywczasu — odrzekł królewicz — widząc was, ojcze, czuwającego bacznie nad bezpieczeństwem wojska i pogrążonego w troskach niepewnej przyszłości? Gdy już się zbliża ta wielka chwila, w której losy ojczyzny rozstrzygnięte zostaną, gdy myśl o przyszłej walce cały nasz umysł zajmuje, gdy żądza pozyskania niezwykłej chwały na placu boju wre w sercu mojem i napelnia je słodką otuchą poświęcenia sił świeżych za świętą sprawę tej ziemi, czujemy dobrze, iż sen najłżejszy nie zdołałby do naszych powiek przystąpić pomimo woli waszej i rozkazów.

— Synu nasz drogi — rzecze po chwili namysłu Władysław — ty jutro w bitwie znajdować się nie będziesz.

— Jakto, mój ojcze? — zawołał z żalem królewicz. — Czemże więc zawiniłem tak bardzo przed wa-

mi, że mnie jednego chcecie wyłączyć od powszechnego całemu rycerstwu zaszczytu? Gdy krew szlachetnych ziomków płynąć będzie potokiem, gdy ty, o, królu, pomimo lat tych sędziwych, resztę sił dla powszechnego dobra poświęcasz, zacóż więc temu zakazujesz chlubnego w bojach udziału, którego młodość sposobnym czynem do zniesienia najsroższych nawet zapasów? Cóż rzekną nieprzyjaciele nasi, co rzeknie Polska, droga nasza ojczyzna, jeśli ten, którego przeznaczacie do berła waszego i chwały, pierwszy się od bitwy uchyli? Nie potępiajcież nas o, drogi ojcze, na tak dolegliwą męczarnię, bo każda chwila gorzko spędzona zdala od krwawych zapasów, stanie się dla nas wiekiem, a każdy cios wymierzony przez nieprzyjaciół na polskie hufce srożej dotknie to serce nad groty i dzidy śmiertelne!

— Zaufaj roztropności naszej — odpowiedział Władysław — stań się temu rozkazowi powolnym, którego nie zmienić nie zdoła. Gdyś nas przynaglił do przebaczenia Wincentemu z Pomorzan, usłuchaliśmy serca twojego natchnienia. Dziś na cię kolej przychodzi. Moglibyśmy zamilczeć o tajemnych woli naszej pobudkach, lecz ojciec nie zdoła tego zataić przed synem, co posta-

nowił monarcha. — Ślizką koleją toczą się losy wojenne, a bitwa jutrzejsza wątpliwszą się zdaje od wszystkich, któreśmy dotąd wydali. Jeżeli Szamotulki stawi się w słowie, może za boskiem wsparciem zwyciężym. W przeciwnym razie klęska nasza jest pewną. My starzy i jedną nogą do grobu zbliżeni, czy dziś czy jutro, stanąć musimy przed Bogiem. Ale ty, synu nasz luby, jesteś ostatnią ojca i narodu nadzieją. Na wzmiankę przygód nieszczęsnych, jakie by ciebie w tej bitwie spotkać mogły, kraje się serce przyszłych klęsk Polski obrazem; któżby osiągnął odwieczne Piastów dziedzictwo!? O, dozwól nam, dozwól z tym orężem w rękę umierać! Ty zaś o, synu, żyj szczęśliwie i długo, aby pod twemi rządami zakwitła obudwu nam droga ojczyzna, aby z twojego związku z Aldoną wysnuł się długi szereg prawych do tronu następców.

— O, drogi ojcze, — zawołał, rzucając się do nóg królewskich Kazimierz — nie przeszywaj boleścią serca naszego, na tę myśl srogą poświęcenia tyle drogiego dla Polski twojego żywota, w tej właśnie chwili, gdy nieodzowne twoje rozkazy chcą jedynego ci syna zdziałać obojętnym świadkiem twej chwały lub zgonu. Ufajmy w Bogu obadwa i walczmy razem obadwa.

— Nie, Kazimierzu! — odrzekł z powagą Władysław — nie chciej się tego napierać, na co zezwolić nie możemy. Bóg włada wszystkim, a bez jego wyroku, najlichszy nawet robak nie zginie. Lecz ten sam Bóg opatrzny i wielki na to nas ludzi obdarzył rozumem, abyśmy, idąc za jego przewodnią, chronić się mogli złej a przewidzianej przygody. Któż bez, obraży jego wszechmocnej woli rzuci się niebacznie w bezleśną głębię? Kto wskoczy w rozhukane wiatrami płomienie, gdy tkwi wyryte od wieków prawo, że jedno i drugie śmiercią niechybną zagraża? Uchylmy czoła przed tajemnymi opatrności sądami, ale nie kuśmy Boga, lecąc na oślep w przepaść. Dla tego poraz ostatni zapowiadam ci, synu, że się na bitwie jutrzejszej znajdować nie będziesz.

Nadto znał dobrze Kazimierz nieugięty umysł ojcowski, więc usłyszawszy te słowa, powstał od kolan królewskich, odstąpił o kilka kroków i wsparty o krawędź stołu, milczał czas długi, przeżywając w swem sercu najboleśniejsze uczucia. Łzy tylko ciche, dobywające się kroplami z pod powiek, o walce wewnętrznej świadczyły.

Dostrzegłszy tego Władysław, przytulił syna do

swego serca, a chcąc uniknąć dalszej rozmowy, zaklaśnął w dłonie.

Wszedł na to hasło posiwiał już rycerz od stóp do głowy zbroją okryty, do którego monarcha temi słowami przemówił:

— Nekando! wielu masz mężów w swojej chorągwi?

— Czterdziestu czterech — odrzekł — miłościwy królu i panie!

— Sążli ci wszyscy na śmierć i zwycięstwo gotowi? — zapytał znowu Władysław.

— Wszyscy są Toporczycy, jak ich dowódca — odrzekł Nekanda — o resztę, królu, nie pytaj!

— Cóż wy myślicie, dzielny Nekando, możemy siłom naszym i mężtwu zaufać?

— Miłościwy panie — odpowiedział rycerz — zmierzylśmy dobrze temi oczyma leżące przed nami równiny. Nigdy jeszcze takiego pola do bitwy nie było. Tu pewnie my wszyscy lub wszyscy polegną Krzyżacy.

— Więc wam nie zbywa na ochocie do boju, który pewnie jutro poczniemy wraz ze dniem?

— Zbywa nam, miłościwy królu, ale na czasie.

Jeszcze noc ciemna i mglista, a już ta szabla szczeka niechętnie wśród pochwy, jakby się domagała rychłego dobycia.

— Cóżbyście rzekli — odezwał się Władysław — gdyby wam przyszło poglądać tylko na bitwę z daleka? gdyby ważniejsza nierównie sprawa wstrzymała was gdzieindziej, podczas gdy walczyć będziemy? możecież dla nas działać z męstwa i sławy ofiarę?

Nic na to nie odpowiedział Nekanda, a uchwyciwszy mocno za rękojeść szabli lewicą, stanął jak wryty, oczekując dalszych królewskich rozkazów.

— Dzielny a pełen roztropności rycerzu — mówił król Władysław — na dowód doświadczonej nam dobrze w różnych przygodach wierności, chcemy wam tyle, ile nikomu zaufać. Gdybyśmy od was krwi albo trudów żądali, nie by to dla was nie było nowego. Inną i wyższą ofiarą uświetnić macie jutrzejszą potrzebę. Oto jest syn nasz, cała i jedyna ojczyzny i nasza nadzieja. Poruczymy go waszej opiece i doświadczeniu waszemu. Nie może on należeć do walki, bo w życiu jego przyszła dola królestwa spoczywa. Pilnujcież go bacznie z całym swym poczem i strzeżcie dni jego od wszelkich przygód na przypadek nieszczęścia. Niech

slucha pilnie rad waszych i skinień i niechaj w żadnem zdarzeniu nie naraża się na boje. Przrzekacież nam ściśle wypełnienie tej naszej woli, dzielny a waleczny Nekando?

— Ha! miłościwy królu! — odrzekł rycerz — wyście kazali i wyście lepiej wiedzieć powinni, co jest z dobrem ojczyzny. O, biedna szablo! i cóżmy z tobą poczniemy? któżby się tego spodziewał?.. Aleś ty królem, a my wierni poddani! Lecz patrzcie o, miłościwy panie, królewicz płacze jak dziecko, jeśli tak będzie wśród bitwy, Nekanda za nic nie ręczy!

— Syn nasz już nam obiecał i przrzekł — rzekł Władysław — a wy, Nekando?...

— Nie, miłościwy panie, przrzec nie mogę, ale rozkażcie wyraźnie, a wtenczas usłuchać muszę!

— Więc rozkazuję i proszę! — rzecze Władysław, ściskając rękę Nekandy.

— O, dobry panie i królu, stało się!.. dopóki jedno tchnienie zostanie w Nekandzie, dopóty syn wasz włosa z swej głowy nie straci! — Lecz gdyby niebezpieczeństwo aż do was, panie, sięgało, gdyby te dumne mnichy i wraz żołnierze zagrozili waszej poświęconej

osobie, wtedy albo rozkażcie raz jeszcze, albo Nekanda zapomni o danem słowie w tej chwili.

— Zapomnijcie raczej o starym królu — przerwie Władysław — a strzeżcie tego, który wam wkrótce panować powinien.

Odprawiała się msza święta przy blasku pochodni. Wydano rozkaz, ażeby zwyczajne hasło do boju, pieśń starożytna „Bogarodzica Dziewica“ w cichości przez całe wojsko zmówioną została.

Ruszyły hufce jak najpowolniej dla podejścia spoczywających jeszcze Krzyżaków. Na zaręczenie Wincentego z Pomorzan, że król Władysław myśli raczej o wyjściu w głąb Polski, jak o stoczeniu rozprawy, spali spokojnie opojeni trunkiem i pomyślnością nieprzyjacielscy rycerze.

Cichość ponura unosiła się nad rozległą równiną.

Już pochwycono dwie czaty, którym natychmiast usta potężnie zawarto. Już mniemać począł Władysław, że cały obóz krzyżacki z nienacka i przededniem napadnie, gdy od czujniejszej straży głos podniesiony: „do broni!“ rozległ się nagle i wszędy trwogę napadu rozszerzył.

Zagrzmiały trąby i kotły.

Właśnie brzask pierwszy oświecać zaczął ziemię. Wstrzymał Władysław cicho i oddzielnie ciągnące hufce, a nagłym i powszechnym napadem na niesprawionego nieprzyjaciela do boju chciał rozpocząć niezwłoczną rozprawę. Lecz w tejże chwili mgła gęsta i czarna spadłszy z obłoków, pomieszała jego zamiary. Wszystko pograżyło się w nieprzejrzaną ciemność. Żołnierze widzieć się na wzajem nie mogli. Daremne były wszelkie wołania i wszelkie rozkazy. Stracono z przed oczu kierunek; nieład i zamieszanie stały się powszechnemi z stron obu. Słyszano z jednej i z drugiej w bliskości głosy zachęcające do walki. Ale jakim szykiem i na kogo uderzać, nikt tego oznaczyć nie zdołał.

W tem położeniu rzeczy zdało się polskiemu królowi wstrzymać stanowcze natarcie do sposobniejszej chwili.

Nim przeto przyszło do boju, zgromadziwszy Władysław przy sobie przedniejszych wodzów i blizkie boku swego rycerstwo, wymowniejszy wiekiem i podjętemi trudy dla dobra kraju, niżli doborem wyrazów, temi prawie słowy do otaczających go przemówił:

— Gdybym nie miał przed sobą walecznych i w tyłu potrzebach doświadczonych Polaków, użyłbym może

całej siły wymowy, na którą zdobyć się snadno w tak ważnej, jaka nas czeka potrzebie. Ale widząc tuż przy nas dawnych towarzyszów oręża i dzielną a gotową na wszystko młodzież, odwołam się tylko do waszego męstwa. Nadszedł dzień pożądaný od wszystkich, dzień walki z Niemcem; dzień walki szczerości i wspaniałości z przeniewierstwem, obłudą i zdradą, obcej i ohydnej przemocy z chęcią życia i umierania w wolności. Oto są ci, którzy zciągnięci z odległych krajów przez dziada naszego Konrada, ku naszej i całego chrześcijaństwa pomocy, obdarzeni przez niego w dostatek, ziemię, z nędznych tułaczy wbici w potęgę i skarby, wypłacili się swym dobroczyńcom najdroższymi klęskami. Wiek nie upłynął od tej nieszczęsnej chwili, a już wytuczeni na naszym chlebie, ze sług i hołdowników stali się panami, z nędznych i pogardzonych od ludów potężnymi swych opiekunów wrogami. — Przejrzyjmy baczenie te uroczyste sojusze, i te składane przed Bogiem i ludźmi przysięgi, a wszędy zobaczymy chytrość, przewrotność, nienasycone krwi i bogactw łakomstwo, biorące miejsce umów i przysiąg, dziś wyrzeczonych a pogwałconych nazajutrz. Przeznaczeni wedle pierwotnych układów do nawracania na wiarę prawdziwą Prusaków,

dzielić się mieli z swymi panami każdą zawojowaną krainą. Gdzież się podziały tak uroczyste przysięgi? Nietylko nie przyczynili Polsce i jednej piędzi z zagarniętych powiatów, ale nawet część jej nie miała, którąśmy z innemi ziemiami odziedziczyli po przodkach, poszła na łup ich niechrześcijańskiej przemocy i chytremu łakomstwu. Mamli wam wspomnieć o świeżych mordach i gwałtach, w których od roku z ich sprawy Wielkopolska niszczeje? Wiecie to lepiej od nas, bo uezuliście to sami. Własne siedliska i domy, własne świątynie i zamki, które jak barbarzyńcy i poganie pustoszą, własne żony i działki, które od ich oreża zginęły, wołają na was o pomstę. Spełni się ona natychmiast, bo jest Bóg, zbrodni i niecnót pogromca. Nie dopuści On, aby ci bluźnierczo jego świętego imienia wzywali, którzy walcząc obłudnie pod znakiem krzyża, chwytają się wszelkich podstępów i gwałtów! Któż o tem nie wie, że za ich radą i sprawą własny nasz sługa i redak podniósł broń krwawą przeciw mnie panu swojemu i przeciw własnej ojczyźnie? Ale ufajmy w Boga, że się ten podstęp na ich zgubę obróci. Ani wam tego zataję, że z licznym i bitnym wrogiem sprawić się dzisiaj będziemy, że siła nasza nie wyrównywa ich sile. Ale kiedyż to Polak ważył przed bojem

pewność przyszłego zwycięstwa? Nie od nas ono zależy, tylko od Boskiej pomocy. Przodkowie waszych miłościów nie liczyli nieprzyjaciół, jeno szablami!.. — Wreszcie oni o panowanie nad nami, my o całość naszą i własne gardła walczyć będziemy. Już mgła, która Niemców dotąd zasłaniała przed naszym okiem, rozrzedzać się poczyną. Mogliśmy ich nieprzygotowanych i potrwożonych zaskoczyć. Ale niechaj stawają w sprawnym szyku do walki, niechaj rozwinią wszystkie hufce i siły. Tym większa będzie ich hańba i klęska, tem świetniejsze nasze zwycięstwo i chwała. Bracia rycerze! Polacy! w imię Boże do broni!

Razem ze znikającą ciemnotą ruszyły polskie zastępy do boju. Wstąpiła w sędziwego i pochyłonego do ziemi króla dawna krzepkość i siła.

Lotem błyskawicy od hufca do hufca przebiegał.

Wszystko urządził z przezornością biegłego wodza i walecznego żołnierza, wszędy był pierwszym, gdzie tylko wypadało uderzyć. Prandota z Ostrowa, Jakub z Szumska i Jaśko z Mielsztyna wspierali dzielnie usiłowania królewskie. Dwa odwodowe hufce, pod Żegotą z Morawicy i ognistym w boju Krystynem, po-

stępowały w niejakej odległości od wojska głównego, gotowe do pośpieszenia w to miejsce, gdzie je powoła potrzeba.

Za wejściem słońca, stanęło przed oczyma Polaków całe nieprzyjacielskie wojsko w potężnej liczbie i w ścisłym szyku sprawione.

Nieufający własnej przewadze Krzyżacy, a myśląc jedynie o zaciętej obronie, powiązali swe hufce łańcuchami puszczonei przez pasy dla wstrzymania pierwszej i strasznej natarczywości Polaków. Nadworna chorągiew królewska, pod wodzą Jaska z Mielsztyna, pierwsza na nich natarła.

Wszczęła się bitwa okropna.

Zachwiał się zaraz hufiec naczelny najdobrańszej jazdy niemieckiej.

Wtem kilka strzałów broni ognistej, świeży wyłazek tych czasów, spłoszyło konie polskiej jazdy, nienawykłe do takowego huk.

Dostrzegliśmy zamieszanie, Władysław sam z przybocznym hufcem na pomoc przyskoczył.

Nie stracił przytomności umysłu Dytrych z Olenburga, najwyższy dowódca Krzyżaków.

Zaczęły się rozwijać nawzajem z obu stron potężne szyki i wkrótce walka stała się powszechną.

Jeśli Polacy nacierali z dzielnością i męstwem, zacięta obrona każdego stanowiska i każdej piędzi ziemi przeświadczała ich o niepośledniej trudności odniesienia lekkiej nawet korzyści, że nie powiemy, zwycięstwa. Co tylko może zręczność i siła, przenikliwość i męstwo, wszystkiego z obojej strony użyto.

Biegał siedmdziesięcioletni Władysław pomiędzy stosami trupów nieprzyjacielskich i własnych. Młodzieńcza dzielność jaśniała z przygaszonych starością oczu; zapał lat pierwszych ożywiał rumieńcem sędziwe jego oblicze. Nie skąpił nawet własnego miecza i ręki. Gdzie tylko błysnął dobytym orężem, gdzie sam na czele swoich uderzył, wszędy broń polska brała przewagę nad siłą.

Taką koleją z równą zaciętością przez trzy godziny walczono.

Ruszyły się nakoniec hufce stojące w odwodzie.

Bitwa, dotychczas wątpliwa, zaczęła się na stronę polską przechylać. Nie wytrzymali odnowionego natarcia Krzyżacy. Nielad i zamieszanie na obu skrzy-

dłach powstały. Widząc to Dytrych, sam na czele swoich w środek wojsk polskich uderzył. Nie zdołał oprzeć się głównej potędze Krzyżaków Jakób z Szumska, kasztelan żarnowski. Skłuty dzidami, zaledwie uniesionym został do swoich na tarczach.

Widząc go złożonego pod drzewem i prawie umierającego z boleści, zawołał król Władysław ze łzami:

— Tyż to więc, najpierwszy z naszych dowódców, opuszczasz swego króla w chwili, gdy twoja dzielna prawica mogła przechylić szalę wątpliwego zwycięstwa!

Nic nie odrzekł raniony; wziął jedną ręką prawicę króla i tę do ust swych przycisnął, drugą zaś wskazał na niebo.

Łży się puścili przejętemu żalością monarsze.

— Panie! — rzekł konający Jakób — pamiętaj o żonie mojej i dziatkach, a zabacz tego, który odchodzi przed Bogą!

— Już skołał — rzekł jeden z obecnych.

Wtem nowe troski skłoniły Władysława do powrócenia na plac srogich zapasów.

Po wielu usiłowaniach i stratach, po cudach waleczności i męstwa, wrzał bój okropny bez widocznej

dla stron obydwóch korzyści. Lecz chcącym dalej bi-
twę popierać Polakom zabrakło wsparcia, gdy całe już
wojsko bez odetchu walczyło. Kzepiła umysł królew-
ski nadzieja przyrzeczonej od Szamotulskiego, ale co-
raz bardziej wątplała, zgasła nakoniec.

Już miano wydać hasło do rychłego odwrotu, już
osiwiał w bojach monarcha zmierzyl całą rozległość
niebezpieczeństwa, gdyby tej chwili zakradł się nieład
najmniejszy pomiędzy przerzedzone zastępy, już i Pran-
dota z Ostrowa doradzał królowi, aby w dniu jednym
całej swej siły nie narażał na klęskę, już go po dwa-
kroć wołającego słyszano: „o, Szamotulski' pocóżem
zaufał zdradnemu słowu twojemu“, gdy znagła w tyle
walczący Krzyżaków ujrzano tuman kurzawy i usłyszano
krzyki potrwożonych niespodzianym napadem Niemców.

Duch wstąpił w polskich dowódców.

Był to w istocie wojewoda poznański z swym lu-
dem, który wpadłszy na tyły nieprzyjacielskich hufców,
stał się przyczyną ich nagłego popłochu. Stawili jed-
nak czoło na dwie przeciwne strony Krzyżacy, ale w nie-
długim czasie mieszać się i rozsypywać poczęli.

Parli ich zewsząd Polacy.

Okrzyk zwycięstwa brzmiał mile dla serca monar-

chy. Lecz nowa pomoc, którą tej chwili nieprzyjacieli odebrał, znowu szalę zwycięstwa w równowadze wstrzymała.

Był to zastęp wielkiego komandora Ottona.

Ostrzeżony o walce w swoim do Brześcia pochodzie, pędem strzwały, acz tylko z częścią swych ludzi, na plac boju pośpieszył. Właśnie z tej strony Krystyn z Ostrowa z sandomierkiem rycerstwem napierał krzepko na cofające się Krzyżaki. Zjawienie się nowego nieprzyjaciela na prawem skrzydle Polaków odnowiło bój srogi, i część Sandomierzan w niebezpieczeństwo podało.

Zygmunt z Szamotu¹ walczył jako ochotnik przy boku Krystyna. Lecz gdy ten ostatni ujrzał złe położenie przednich swych hufców, rzucił się na oślep przeciw znużonym drogą, lecz dzielnie nacierającym Krzyżakom. Niewielka liczba rycerstwa poszła za swoim dowódcą. Wolał Zygmunt z sił wszystkich na innych i w oka mgnieniu nieszczupły poczet około siebie zgromadził.

Ruszył niezwłocznie w ślady przyjaciela swojego, lecz już go znalazł osaczonym dokoła. Na próżno po dwakroć z całą zapalczywością uderzał.

Gdy za odnowionem prawie z rozpaczą natarciem przedarł się w środek Krzyżaków, okropny widok oczy jego uderzył. Leżał rozciągnięty na ziemi i ledwie już dychający Krystyn, a krew obfita zrosiła ten zagon, na którym upadł śmiertelnie przeszyty. Dwaj Niemcy odzierali z żywego jeszcze świetną zbroję i kosztowne oręża.

— Co widzę? — zawołał pełen żalości młodzieniec. — Bracia! oto wasz dzielny dowódca w ręku nieprzyjaciół ojczyzny. Za mną, rycerze! wydrzimy go z szponów tych sępów żarłocznych! wróćmy do życia, jeżeli to jeszcze podobna, lub umrzyjmy z nim razem!

Wszczęła się walka okropna, walka rozpacz z przemocą. Mnóstwo ludu zbrojnego poległo koło wpółmartwego Krystyna. Dwa razy unosili go Krzyżacy pomiędzy swoich, dwa razy odpędzeni przez walecznego Zygmunta, rzucili nareszcie plac boju i pierzchli sromotnie.

Już wtedy przechyliło się tyle drogie zwycięstwo na stronę Polaków. Nieszczęsny Zygmunt, przyskoczywszy do przyjaciela swojego, począł go opatrywać i do serca przytulać. Tlała w nim jeszcze niedogasła życia isierka.

Ożywiła się w Zygmuncie nadzieja. Sam z trzema rycerzami począł Krystyna ku namiotom unsić i cały się oddał około niego staraniu.

Od chwili, w której zgromiono przybyłe na końcu walki posiłki Ottona, ustała bitwa, a poczęło się okropne morderstwo. Ścigano na wszystkie strony uciekających Krzyżaków. Cała równina zasłana była trupami. Cięty w głowę Dytrych z Oldemburga dostał się w polską niewolę. Tenże los spotkał hrabiów de Plauen i de Hausstein, dwóch znakomitych nieprzyjacielskich dowódców.

Poległo na placu dwadzieścia tysięcy Krzyżaków.

Gdy noc zbliżająca się przerwać kazała ściganie, powracał do swego namiotu Władysław, krwią i kurzem okryty i ledwie nieupadający z całodziennego znużenia.

Wybiegł naprzeciw niemu królewicz Kazimierz i nie umiał żalu zataić, że mu ojciec uczestnictwa w boju zakazał.

— Nie raz jeszcze odwetujesz to sobie, mój synu! — rzecze do niego Władysław — bo ta stugłowa hydra niemiecka przytarta, lecz niepokonaną została.

Spostrzegłszy potem pogrążonego w smutku i stojącego z spuszczoną głową Nekandę, rzekł:

— Nie miejcie do nas żalości za co wam długo i dobrze będziemy wdzięczni!

— Oj! miłościwy królu i panie — odrzekł Nekanda — gdybyśmy byli przeczuli tę mękę i boleść, na którąście nas bez winy skazali... Ale stało się, co się odstać nie może. Dziś lada niewieściuch wytykać nam prawo pozyskał i pytać: cóżeście z bitwy pod Płowcami wynieśli?

Wincenty z Pomorzan, którego pomoc dana królowi w najważniejszej chwili rozprawy uważać nakażywała za zbawcę ojczyzny, przyjęty przez Władysława z oznaką łaski, wracał obok monarchy po skończonej potrzebie. Lecz dostrzegłszy zgromadzonych przy królewskim namiocie jeńców krzyżackich, wrócił się śpiesznie pomiędzy swoich.

Stawiono przed Władysławem celniejszych więźniów. Ujrzawszy Dytrycha z Oldemburga ze związaną głową i bez oręża, rzekł do niego w te słowa.

— Jużemy tracili nadzieję spotkania się z wam w otwartem polu, w tym późnym wieku. — Czas nam zręczną ku temu nadarzył sposobność. Oto jest wasz

oręż. Podobny wam rycerz nie powinien się z nim rozstawać do zgonu. Chwalebna rana, którąście odnieśli w dzisiejszej potrzebie, wymaga pilnego starania. Możecie zostać swobodnie w jednym z miast naszych na słowo wasze rycerskie.

— Przyjmujemy waszą ofiarę — odrzekł królowi Dytrych. — Dotrzymaliście nam słowa danego na Kałiskim turnieju. I my będziemy wierni naszemu. Oto jest w zakład nasza prawica.

— Oby wasz zakon — przemówił na to Władysław — podał nam równie braterskie dłonie zamiast trapienia wojnami chrześcijańskiego narodu. Oby nareszcie przywiódł na pamięć, że ci, którzy go przygarnęli na swoje łono, są raczej dobroczyńcami jego, niżli wrogami!

— Nie do mnie należy sądzić w tej sprawie — odpowiedział Dytrych. — Rozkazy wielkiego mistrza są dla nas prawem. Jako podwładni, słuchać tylko i walczyć na jego skinienia winniśmy. Dziś pozbawieni wolności losem wojennym, wzdychać będziemy do chwili, która nam swobodę powróci.

— Wiemy to do dobrze! — rzekł za odchodzą-

cym Władysław — snadniej was wytepić, niż ugiąć. O, Kazimierzu, mój synu! gdyby nie ci sąsiedzi, zstąpiłbym do grobu spokojnie.

Tymczasem polscy rycerze obliczali swe straty i plakali nad niemi. Poległ na czele swych hufców waleczny Żegota z Morawicy, chorąży krakowski. Wierni towarzysze oręża zaledwie znaleźli w spóźnionej nocy pomiędzy stosami trupów krzyżackich dziewięć razami ugodzonego i zabitego dowódcę. Obmywszy ciało z krwi hojnie wylanej, nieśli go w smutku ponurym na tarczach i przy chorągwi wojewódzkiej we własnym namiocie złożyli. Sędziwy Prandota z Ostrowa, który się tak chlubił do zwycięztwa przyłożył, wzięwszy wiadomość o losie syna, pobiegł natychmiast do jego namiotu. — Jakże bolesny widok uderzył go na wstępie! — Leżał szlachetny młodzian w okropnej walce między życiem, a zgonem. Zygmunt z Szamotuł klęczał przy jego łożu, dodając męztwa płonną i bezskuteczną pociechę. Rzucił się na łono syna nieukojonny w swym żalu ojciec.

— Mógłżem się tego spodziewać — zawołał — abym ja, starzec na zgon jedynego syna, poglądał? Zaczóż oszczędziłeś mię w okropnej walce o, Boże,

a wzywasz tego do siebie, który stałby się z czasem ozdobą Polski i chwałą? Ale niezbadane są twoje sądy. O, synu drogi! pociesz się jednak przed zgonem. Żyłeś cnotliwie, chociaż tak krótko; walczyłeś mężnie, zostawiasz Polskę zwyciężką! — Przejdziesz z zaszczytem do grona nieśmiertelnych twych przodków Rawiczów, a imię twoje księga dziejów zapisze na wieki. Wrychle zobaczymy się podobno. O, czemuż w tej chwili okropnej nie mogę twych cierpień podzielić?

— Ojcie mój, — rzekł przytłumionym głosem Krystyn — ja nic nie cierpię w tej chwili. Zazdroście mi raczej, a niebolejcie nademną. Miło jest za zwycięską sprawę ojczyzny umierać. Jedno mnie dręczy tylko przed zgonem. Spójrzycie, ojcie, na tego zacnego młodziana. — Przychylny z serca za życia, nie chce mnie odbiedz w ostatniej nawet godzinie. On walczył ze mną i za mnie ledwie nie poległ. — Wkrótce stracie już syna, lecz go możecie odzyskać w Zygmuncie. Umierający Krystyn błaga was za swoim druhem i bratem.

— O, synu drogi! — rzeknie ze łzami Prandota — któżby twej prośby odmówił? Ale co widzę? ty bledniejesz i mdlejesz! Spójrz po raz ostatni na błogosławiącego ci ojca, a potem niechaj się spełni wola Boża nad nami!

Ujął raz jeszcze starego rękę Prandoty umierający Krystyn, podał swoją pogrążonemu w boleści Zyg-muntowi z Szamotnł, spojrział ku niebu i skonał.

Uwiadomiony o poniesionych stratach Władysław, wyjechał nazajutrz równo ze świtem na plac wczoraj-szych zapasów. Młody Kazimierz towarzyszył królowi.

— Patrz, synu! — rzecze ze smutkiem monar-cha — ile nas ofiar kosztuje zwycięstwo. Dla tego unikaj wojen, jeżeli cię do nich nie znagli najwyższa kraju potrzeba; bo krew ludu wiernego droższa jest od twierdz zdobytych i od najświetniejszych nabytków. Jechał w posępnem milczeniu obok ojca królewicz. Sprzątano na jego rozkaz ciała pobitych w walce Polaków. Oby i swoi ranni równą wzbudzali troskliwość; było ich wielu, których sprzątnąć nie zdołano przededniem.

Leżał na stronie mąż jeden z pomiędzy Sieradz-kiego rycerstwa, przebity trzema włóczniami; wybiegłe z rany jelita wpychał w rozdarty żywot rękoma.

— Ratunku! — zawołał, zbliżając się ku niemu Władysław — ach, jakże wiele cierpi ten mążny.

— O, miłościwy panie! — odrzekł mu Floryan Szary (to było rannego rycerza nazwisko) mniej są bo-lesne te rany, zyskane w świętej sprawie ojczyzny, ni-żli zły sąsiad, który mnie utrapia!

— Bądź dobrej myśli — odpowiedział na to monarcha — gdy się twe rany wygoją, nie ujrzysz więcej złego sąsiada, te zaś trzy włócznie krzyżackie, któremi leżysz przeszty do twego herbu dodane, zaświadczą wiekom potomnym o twoim mężstwie i wdzięczności monarchy.

Dotrzymał słowa Władysław. Gdy wyleczony z ran rycerz powrócił do włości Majkowic, skromnego po przodkach dziedzictwa, nie został w sąsiedztwie nienawistnego Bąka, którego własność Bąkowa Góra, zakupiona hojnością króla, pomnożyła Floryana Szarego majątność.

Późniejsi następcy mężnego rycerza chlubią się dotąd zyskanym na placu bitwy pod Płowcami zaszczytem. Herb Kozłeroży, do którego odtąd trzy włócznie przybyły, pod innem mianem Jelity jest do dni naszych wielu szlacheckich rodzin znamię.

Jeszcze dnia tego obwołano w obozie wyrok królewski, którym Wincenty z Pomorzana Szamotulski, do czci i dawnych zaszczytów wrócony, odzyskał razem i województwo poznańskie i wielkopolskie starostwo. Niedługo atoli cieszył się odzyskaną dobrą sławą, gdyż wkrótce umarł.

ROZDZIAŁ XV.

Jesień posępna odzierała z liści gaje i lasy, a mgliste i wilgotne powietrze ciążyło nad ziemią, gdy wojska czeskie, wkroczywszy na pomoc pobitym pod Płowcami Krzyżakom, rozłożyły się taborem na około Poznania.

Jan Luksemburczyk, król czeski, przewodniczył osobiście swoim zastępom. Opanowanie Polski i odzyskanie tronu, do którego płonnie swe prawa rościli od dwóch Wacławów czescy królowie, wmówili w niego Krzyżacy. Tą myślą tchnęły wszystkie jego odezwy i mowy, w których odmawiał Władysławowi Łokietkowi imienia króla polskiego. Pochopna chwila do opanowania korony polskiej, znęciła Jana do Polski z nie-

wielkim wojskiem, które wszelako aż nadto było do-
stateczne do zdobycia Poznania. Już ustawione kusze
miotają gęste pociski wśród miasta, już przysunięte ku
murom tarany tłukły potężnie w bramy i wieże. Le-
żące w pobliżu włości od ognia nieprzyjacielskiego
splonęły. Lecz wielkopolska szlachta, przybiegłszy w mu-
ry stolicy, wzmocniła środki obrony i wsparła męstwo
mieszkańców. Jan z Ostroroga, jako najdoświadczeń-
szy z rycerstwa, objął za zgodą wszystkich dowództwo.
Broniono się odważnie i dzielnie, a szturm najpierwszy
z wielką klęską wojsk czeskich odparty, wprawiał w do-
mysły, azali chytrzy Krzyżacy nie oblakali Jana Lu-
ksemburczyka fałszywą nadzieją snadnego zdobycia Po-
znania i zajęcia bez wielkich trudów polskiego króle-
stwa. Wstyd nie dopuścił odstępować zbyt lekko tak
ważnego zamiaru. Ściągnawszy przeto nowe i lepsze
narzędzia przeciwko murom Poznania, Czesi tłuc je
na nowo poczęli we dnie i w nocy, pomimo straty
swych ludzi, i ostatecznie dzień 20 października 1331
roku przeznaczyli na wykonanie powtórnego, a lepiej
i dojrzałej ułożonego natarcia.

Równy z zapadającym wieczorem uciszyło się
wszystko w czeskim obozie i w mieście. Ta przerwa

działań wojennych mogła być znakiem znużenia i próżnych dotąd wysiłen oblegającego wojska. Oto w łonie nocy zaczęły po czeskiem wojsku ciche hasła przebiegać. Stawały rotę koleją, czekając spokojnie na zbliżenie się świtania i na ostatnie króla swego rozkazy. Niebawem Poznań wpadnie w ręce Czechów.

Wtem jakby z niebios niespodzianie szczupły hufiec Polaków, ledwie z trzydziestu ludzi złożony, niespodziewanie i z tyłu na nich uderzył. Mniemali z razu, że to jest czoło wojska polskiego, które obleżonym na odsiecz przybywa, i zmieszali się nagłością napadu. Gdy jednak z czasem i błąd swój i szczupłość siły nieprzyjacielskiej poznali, zaczęli walkę, w której nacierający po cudach męstwa wszyscy nakoniec polegli. Ale załoga poznańska, dosłyszawszy z murów rozruch w czeskim obozie i równie sądząc, że jej rodacy na pomoc przybyli, wysypała się z miasta i samem zjawieniem się swoim rozszerzyła nieład pomiędzy Czechami. Walczono z zaciętością i męstwem przez trzy prawie godziny. Pokonani Czesi, straciwszy mnóstwo ludzi i wszystkie sprzęty wojenne, ratowali się sromotną ucieczką. Jan Luksemburczyk, przeklinając Krzyżaków, powrócił z garstką swoich do domu.

Lecz gdy poczęto badać, skąd poszło pierwsze na Czechów natarcie, i gdzie się odsiecz polska podzielała, wszystkie poszukiwania ginęły w samych domysłach. Twierdzono tylko, że lud wieśniaczy widział przed świętem mały hufiec jezdnych rycerzy, którzy pędząc ku czeskim wojskom na rozognionych rumakach, uderzyli, zadali klęskę i jakby w ziemię przepadli. Wielu mniemało, że to był cud. Lecz za nadejściem wieczora, gdy już poczęto uprzątać ciała poległych w niedawnej walce, spostrzeżono pomiędzy ciałami Czechów obcych osadzie i nieznajomych rycerzy. Właśnie w tej chwili przybiegł na odsiecz miastu królewicz Kazimierz, śpieszący z hufcem wyborowego rycerstwa. On pierwszy z rozdarciem duszy poznał pomiędzy poległymi ciało Zygmunta z Szamotuł. Leżał zacny i dzielny młodzian rozciągnięty na piasku i krwią szlachetną zbroczony. Twarz jego bladą i od smutku zgębnioną rozjaśniał uśmiech nadziei, lekko na ustach osiadły. Krzepka i dzielna prawica trzymała jeszcze ten oręż, który przed chwilą tyle cudów męstwa dokonał. Lewe zaś ręka ściągnięta była ku sercu. Żal powszechny nad zgonem pełnego nadziei młodziana wszystkich lica zasępił. Niejedno oko uroniło łzę żalu i smutku. Pła-

kał najrzewniej królewicz. Zaniesiono szachetne zwłoki do miasta, które było poległego kolebką, i tu z czcią należną bohaterowi pogrzebiono.

— Ten młodzian zmył plamę z tarczy herbowej swego rodu — rzekł królewicz Kazimierz — był to prawdziwy Polak-bohater.

KONIEC.



554312

1401

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

111076